Nr. 5 (1619) Warszawa, 3 lutego 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Czerwona zasłona.

„W razie niepogody rewolucja odbędzie się w sali".
(Simplicissimus)

Niemcy naogół nie są krajem niespodzianek, a jednak porażka bloku rządowego i tryumf skrajnej lewicy na wyborach, w dobie ciągłych alarmów wojennych — sprawia niezwykłe wrażenie. Naród niemiecki głosem dobitnym zaznaczył swoje niezadowolenie. Jakież tam na dnie duszy flegmatycznego Niemca narosły warstwy gniewu, urazy, niechęci! Jak długo i jak cierpliwie czekano, by w dzień wyborów rzucić do urny, jak wyzwanie, kartę z niemiłym rządowi nazwiskiem! Aczkolwiek lud niemiecki,choć pono z prawowiernych socjalistów się składa, najmniej jest może skłonny do rewolucji, tym niemniej wynik wyborów obecnych wygląda, jak jawny, zuchwały rokosz, jak szturm jeneralny choć bezkrwawy do szańców starego systemu.

Należy jednak ustalić, co było właściwie główną przyczyną niezadowolenia i celem pocisków. Ludzie naiwni, widząc w szeregach szturmujących 4 miljony socjalistów, gotowi krzyknąć, że wali się ustrój burżuazyjny pod naciskiem rewolucyjnego proletarjatu. Takież ostrzegawcze a podstępne głosy rozlegają się z prawego skrzydła w stronę demokracji mieszczańskiej, naogół bezskutecznie.

Istotnie, liczbowy wzrost socjalizmu przysłonił całe Niemcy jakby czerwoną kotarą, rzucającą się wszystkim w oczy; dość jednak uchylić jej fałdów, by przekonać się niezbicie, że obraz istotnych stosunków jest w państwie niemieckim bardzo złożony i niejednolity.

Wbrew pozorom, stwierdzić wypada przedewszystkim, że wybory odbyły się i przeszły nie pod hasłem walki z burżuazją, tylko na korzyść tej ostatniej. Społeczeństwo zwróciło się frontem bojowym przeciw rządom feodalno-junkierskim. Mimo całej świadomości swych własnych antagonizmów, robotnik stanął obok przemysłowca, miljoner głosował na socjalistę.

Mieszczaństwo rzuciło wyzwanie szlachcie, miasta ruszyły przeciwko wsiom. Naród zamknął groźne kolisko dokoła klanu rozpartego na szczytach władzy ziemiaństwa.

Styczeń tegoroczny był jakby gromkim przypomnieniem światu, że między rozwojem ekonomicznym Niemiec a ich polityczno-społeczną strukturą legło conajmniej 100 lat różnicy. Opoką bowiem kamienną, na której wspiera się rozkwit gospodarczy i przemysłowy tego kraju, jest liczne, dzielne, wytrwałe i energiczne mieszczaństwo wespół z inteligentną, pracowitą, sumienną rzeszą robotników.

Ale wyłączną podstawą rządu—jest zachowawcza, pasorzytnicza, zamknięta w ramach ciasnego egoizmu kasta junkierskiej biurokracji.

Rdzeniem potęgi niemieckiej są warstwy średnie. Z roku na rok wzmagają one żywotność i siłę Niemiec. Ich to zabiegliwość, przedsiębiorczość, technika i wiedza wysunęły ten kraj na czoło państw kontynentu. Niemiecki przemysł i handel święci tryumfy po całym świecie, gdy natomiast militaryzm niemiecki daremnie sili się sprostać ambitnym swoim zamiarom.

I otóż mieszczaństwo niemieckie, mimo swych zalet niepospolitych, pełni w ojczyźnie podrzędną rolę kopciuszka. Niedopuszczone do szczytów hierarchji, zadawalniało się czas długi tytułem radców handlowych i orderami trzeciej klasy, gdy we Francji i Anglji ludzie tego stanu chlubne nieraz sprawują rządy.

Tymczasem, ci królowie węglowi z Westfalji, ci mocarze stali i żelaza, potężni kupcy z Ham-

burga, co tak sprawnie kierują setkami tysięcy ludzi na całej kuli ziemskiej, czując się w zupełności na siłach do ujęcia rządów państwowych w swe ręce — są władcami jedynie w zakresie swoich biur i fabryk. Dwór i wyższa noblessa trzyma ich w oddali, wysokie urzędy niedostępne, armia przed nimi zamknięta, karjera dyplomatyczna zdaje się istnieć dla utytułowanej szlachty, stokroć niżej od nich stojącej pod każdym względem. Nadto, zacofane i tępe ziemiaństwo, rządząc w kraju samowładnie, urabia całe ustawodawstwo według swego widzimisię, nakłada cła i podatki, podnosi ceny mięsa i zboża, krzywdzi liczniejszą o wiele ludność miejską z typowym egoizmem kasty, przywykłej do przywilejów. Burzy się, patrząc na to, oświecone i bogate mieszczaństwo, sarka głośno gmin miejski, chmurzy się groźnie proletarjusz, nękany drożyzną i czytujący pilnie swe robotnicze pisma partyjne. I tworzy sie samorzutnie, żywiołowo na pół świadoma solidarność wszystkich pokrzywdzonych i niezadowolonych żywiołów. Na jej tle widać dopiero wyraźnie linje przesilenia.

I nic dziwnego, że *Berliner Tgblt.*, organ postępowego mieszczaństwa, każe w przeddzień wyborów ściślejszych głosować na socjalistów. I nic dziwnego, że potentaci pieniężni setkami tysięcy marek zasilali kampanję skrajnej lewicy. *Hansa-Bund*, potężna organizacya wielkiego przemysłu, rzuca rozgłośne hasło: *Precz z przywilejem, niech żyje równość!* Idący za nią radykalny *Związek chłopski* sieje waśń pośród zachowawcze *Koła rolnicze*, a po miastach forpoczty ruchu tworzy *Liga Hanzeatycka*, złożona z drobnych kupców, handlowców oraz inteligencji zawodowej.

To wszystko skupia się coraz szczelniej dokoła sztandaru wojny, wypowiedzianej znienawidzonym junkrom; niemiecki stan trzeci zaczyna wreszcie odczuwać, że będąc tak długo *niczym*, mógłby być *wszystkim* w zaraniu XX stulecia. A kiedy zagrzewa go do walki liberalny ks. von Schoenaich-Carolath, domniemany prezes Reichstagu, to wydać się to może nikłym i spóźnionym o 120 lat echem grzmiących, jak orkan, słów markiza Mirabeau...

Lecz 120 lat nie przeszły nad Europą bez śladu. Jakkolwiek naiwnym bardzo jest twierdzenie, że burżuazja cierpi już na beznadziejny uwiąd starczy i do niczego niezdolna płoszy się jak tabun koni przed czerwonym widmem socjalizmu, jakkolwiek dzień każdy daje nam na całej powierzchni globu oczywiste dowody potęgi i energji twórczej kapitału — niemniej pewnym jest, że liczebny rozwój socjalizmu odbiera mieszczaństwu niemieckiemu wszelką swobodę ruchów. W łonie *Hanzy* zaszedł nawet rozłam, ponieważ część przemysłowców nadreńskich czuła się społecznie bardziej zagrożoną z lewej strony, niż politycznie pokrzywdzoną z prawej. Można też być pewnym, iż przy pierwszej okazji nacjonal-liberalizm przejdzie na stronę rządu.

Od pewnego też czasu stoją Niemcy na martwym punkcie rozwoju. Socjalizm, choćby samodzielnie zwyciężył, musiałby mieszczańskie sprawować rządy; mieszczaństwo, czując za plecami rosnący wrogi kollektywizm, traci rozmach opozycyjny. Jedynie przełom na skrajnej lewicy i tryumf rewizjonizmu nad ortodoksją nieprzejednańców starej szkoły — na co się zresztą zanosi — może być decydującym w tej mierze bodźcem rozwojowym.

Jeśli zaś socjalna-demokracja, w myśl dotychczasowej tradycji, zechce i nadal prowadzić li tylko propagandę walki klas — to cała jej 4-o miljonowa machina z wielką precyzją będzie pracować — w próżni, ku wielkiemu zadowoleniu junkrów..

Gdyby zaś utworzyła blok z opozycją mieszczańską, to i wówczas niewiele zdziała bez poparcia Polaków, którzy, dziwnym zrządzeniem, zadecydują w wielu wypadkach. Lecz, niestety, duch polityki.

ECHA PRAWDY.

Dwa bieguny — dwa światy.

Kiedy goście brytańscy wysiedli z pociągu na dworcu Warszawskim w Petersburgu, tradycyjnym zwyczajem podjęto ich chlebem i solą na srebrnej tacy. Szlachetni lordowie i grzeczni gentlemani nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem począć i taca wędrowała z rąk do rąk.

W pałacu Taurydzkim podejmowano gości — sprawą chełmską. Właśnie gdy zasiedli w loży, miotał się na mównicy pop Juraszkiewicz w świętym uniesieniu, niewiele mającym wspólnego z ewangieliczną miłością bliźniego.

Anglicy sięgają ciekawie po program porządku dziennego. Brzmi on jak następuje:

„Continuation of the discussion on the report of the Legislative Motions Committee dealing with the separation of the eastern parts of the Governments of Lublin and Sedletz from the Kingdom of Poland and with the establishment of a separate Government of Chelm: proposed by the Minister of the Interior (Nr. Nr. 440, III—5, 49 and 50, III—5, distributed 7 May and 10 and 11 November 1911; mover — Tshihatsheff)".

— Co to znaczy?—pyta sir Mackenzie Wallace jakiegoś Rosjanina.

— To... to tylko wstęp do autonomji Królestwa Polskiego *(to the self-government of Poland)* — brzmi odpowiedź.

— Aoh!—Anglik zadowolony słucha wywodów popa z rozjaśnioną twarzą.

Wieczorem na bankiecie Rady Miejskiej jeden z angielskich delegatów przemówił w te słowa:

— gospodarze nasi, Rosjanie, wykazali wielki rozum stanu i dowiedli niezwykłej kultury politycznej wprowadzając u siebie ów *self government* chlubę naszego ustroju, dzięki któremu zdziałaliśmy cuda w Afryce Południowej. Po krwawej i zajadłej walce daliśmy boerom autonomię, co ich tak zjednało, że dawny, nieprzejednany nasz wróg gen. Botha piastuje dziś lojalnie urząd premiera Afryki Południowej, jako reprezentant naszej Korony. Cieszę się bardzo, że widzę u was tu — prawie to samo."

polskiej tudzież skład osobisty Koła ziemian i księży rozstrzyga tę przewagę zawczasu na rzecz zachowawców i centrum...

Lecz gdyby nawet Koło Polskie, zerwawszy z tradycją, poparło lewicę postępową — to i wówczas rząd nie da za wygraną, rozwiąże parlament i wyznaczy nowe wybory. A gdyby i one wypadły mu nie po myśli, potrafi zapewne rządzić wbrew większości lub szukać dywersji zagranicą, na polu zwycięzkich bitew...

Tym nie mniej taktyka socjalistów i Polaków w obecnej kadencji ma niezmierne znaczenie.

Na tych dwóch zespołach skupi się uwaga ogółu. Państwo niemieckie weszło w okres wewnętrznych, przewlekłych przesileń, których przebieg może być rozmaity, ale wynik można zgóry przewidzieć. Będzie nim upadek rządów feodalnych i tryumf mieszczaństwa, któremu chcąc nie chcąc sekunduje demokracja społeczna.

L. G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Polityka zewnętrzna Francji. — Rosja, Mongolja i Chiny. — Wybory w Stanach Zjednoczonych. — Po wyborach niemieckich. — Zatarg włosko-francuski).

W związku z upadkiem gabinetu Caillaux rozeszła się pogłoska, jakoby Francja szukać miała na własną rękę porozumienia z państwami Trójprzymierza. Nawet poważny *Journal des Debats* uczynił się echem tych pogłosek, wywołując ze strony *Temps'a* następujące *dementi:* „Pan Poincaré powołuje kraj do polityki narodowej. Prosty jej trakt widocznym jest dla każdego od wojny 1870 roku. Nie wolno, nawet w zapale polemiki, dyskredytować jej przeszłości. Bądźmy lojalni względem Francji, która nigdy nie miała i nie może mieć innych metod dyplomatycznych, jak te, których podstawą przed luty 20 stał się sojusz francusko-rosyjski. Jesteśmy niezachwianie mu wierni i to jest dla nas, Francuzów, punktem honoru".

Rzeczą jest nader wątpliwą, czy sojusznik nadnewski, od czasu umowy w Potsdamie, żywi względem Francji równie lojalne uczucia.

Zauważono, że ilekroć Rosja zbliży się do zachodniego sąsiada, czerpiąc pewne inspiracje z biur na *Friedrichstrasse,* tylekroć wzmaga się jej ku wschodowi Azji ekspansja. Tym razem wynurzenia przyjaźni niemieckiej spowodowały ruch posterunków rosyjskich w głąb Persji i Chin. Opinja angielska zaczyna krytycznym okiem spoglądać na owoce paktu z r. 1907-go i krążą pogłoski, że stanowisko Grey'a poważnie jest zachwiane z powodu popierania przezeń działań rosyjskich w Persji.

Od strony Chin zaszły w ciągu roku ważne wypadki. Wiadomo, że zatarg ostatni pomiędzy Chinami i Rosją nagromadził sporo chmur burzliwych w Mongolji, wystawionej bezpośrednio na parcie sił rosyjskich. Ustąpiwszy narazie wobec ostrego ze strony Rosji ultimatum, rząd chiński słał do Mongolji i Mandżurji pułki za pułkami. Gdyby nie nagły wybuch rewolucji, mógłby już rozporządzać na północy pokaźną siłą sześciu dywizji nieźle wyćwiczonych i uzbrojonych w broń najnowszego systemu. Rewolucja w Hupe wstrzymała odrazu tok tych groźnych dla Rosji przygotowań. Natychmiast powstała nad Newą myśl utworzenia jednego lub kilku „państwbuforów" na chińskiej granicy. Wyłoniła się tedy kwestja *autonomji mongolskiej,* bardzo popularnej w rządzących kołach rosyjskich. Koronacja mongolskiego *chutuchty* d. 28 gr. r. z. mile była nad Newą widziana. Wchodząc odrazu w rolę patronatu nad samodzielną Mongolją, Rosja wystosowała do Chin żądanie zaspokojenia następujących wymagań mongolskich:

1) samodzielności w zarządzie krajowym;

2) zwolnienia wszystkich Mongołów od służby w armji chińskiej;

3) wstrzymania dopływu swoich żołnierzy i kolonistów na terytorjum Mongolji.

W warunkach, w jakich się dzisiejsze Chiny znalazły, mowy być nie może o jakimkolwiek z ich strony oporze. Nie ulega jednak wątpliwości, że z czasem zwrócą się Chiny po pomoc do naturalnego swego sprzymierzeńca — Stanów Zjednoczonych Am. Półn., których wpływ i postawa na Dalekim Wschodzie zwraca już powszechną uwagę.

W najbliższym czasie polityka wielkiej republiki amerykańskiej zależeć będzie od wyboru nowego prezydenta. Powrót na widownię świata tak silnej jednostki, jak Teodor Roosevelt, nie będzie bez znaczenia. Wpraw-

Po tej przemowie zapadło kłopotliwe milczenie. Tu i owdzie krzyknięto: hurra! na cześć gości zamorskich; rozległy się dźwięki hymnu słowami obcej treści:

Rule Britannia, rule the waves
Britain never vill be Slaves!

Niektórym biesiadnikom poczęło się zdawać, że w trakcie wykonywania hymnu białe kolumny i ściany komnaty dziwnie poczerwieniały. Złożyli to złudzenie na karb winnych oparów i gorącej atmosfery zebrania.

456 konfiskat w dziejach jednego pisma!

Nader „chlubne" świadectwo sprawności i żywej gorliwości cenzorów c. k. w Galicji — daje nam fakt 20-lecia krakowskiego organu Pol. Partji Socjalno-Dem. Gal. i Śląska *Naprzodu*.

Owóż ten jeden z najśmielej redagowanych dzienników polskich obaczył światło dzienne w r. 1891-ym, pierwotnie jako dwutygodnik, zamieniony w 4-y lata potym na tygodnik, by wkońcu od r. 1900-ego dzień w dzień niepokoić „obywatelskie" sumienia podwawelskiego grodu. W ciągu tego czasu szan. prokuratorja zarządzała konfiskatę co dziesiąty numer! Ponieważ wyszło ich już z górą 4540, a więc wykonano ich 456. Lecz nie na tym koniec tych „jubileuszowych" danych.

Otóż *Naprzód* miał również 202 procesów i drobniejszych spraw prasowych, z których 6 zakończyło się zasądzeniem redaktorów na 3 lata i 14 dni więzienia i przeszło 1000 koron grzywny.

Naogół trzeba przyznać, że *Naprzód* zrobił wiele, bardzo wiele dla oczyszczenia zatęchłej atmosfery galicyjskiego zaścianka i walczył sumiennie o zdobywanie placówek postępu, wolnej myśli oraz szerzył nowoczesny ruch robotniczy. *Naprzód* jest dzieckiem polskiego ruchu socjalistycznego, a ze swego zaś łona wydał pokrewne mu organy: codzienny *Głos* lwowski, obecnie rozszerzony i ulepszony tygodnik dla ludu wsi i miast *Prawo Ludu*, *Robotnika Śląskiego* oraz liczne pisma zawodowe. *Naprzód* wywoływał i wywołuje śród duchowieństwa drgawki wściekłości i zgoła nie chrześcjańskiego szału nienawiści; wszystkie ambony i zakrystje grzmią prze-

dzie dotąd popularny „Teddy" nie postawił swojej kandydatury i walka toczyć się będzie — w stronnictwie republikańskim — pomiędzy Taftem a senatorem La Follette, zaś z pośród demokratów ubiegać się będą o władzę wieczny kandydat Bryan i p. Woodrow Wilson, gubernator stanu New-Jersey, b. rektor wszechnicy w Princeton i autor rozgłośnego dzieła *O Państwie*.

Wybory w Niemczech są wciąż bardzo żywo komentowane. We Francji budzą one ciekawość, w Anglji nie wywołały zdziwienia, natomiast w kołach miarodajnych austryjackich czuć pewną konsternację, którą *Zeit* tymi słowy wyłuszcza: „Wybory prowadził rząd niemiecki pod hasłem walki z socjalizmem. I otóż właśnie socjaliści największy odnoszą sukces. Klęska tym bardziej znacząca, że władze siliły się uruchomić na swoją korzyść nacjonalizm niemiecki.

Pisma rządowe krzyczały, że kraj w niebezpieczeństwie, że należy wzmocnić armję i flotę, uprzednio zaś — rozgromić socjalistów. Wezwania tego rodzaju zawsze były w Niemczech skuteczne. Kiedy Bismark straszył wojną, był zawsze pewnym powodzenia. Tym razem nie było potrzeby wywoływania widma wojny: pokazywało się ono zewsząd.

Wyborcy niemieccy wiedzą, że otacza ich zewsząd nienawiść zaczajona podstępnie, a mimo to głosują na socjalistów. To świadczy, że są bardzo niezadowoleni. I nietylko w rzeczach ekonomicznych i społecznych, ale i w dziedzinie polityki państwowej. Niemcy nie są zadowolone z niepowodzeń polityki zewnętrznej. Żywią więc urazę nietylko do pewnych osób, lecz do całego systemu".

I dziennik wiedeński kończy tymi słowy:

— „Marokko wciąż jeszcze ciąży nad Europą. Niemcy miały teraz wybory — marokańskie".

Niemniej zaczyna ciążyć nad Europą — Trypolis. [illegible] przychwyciły gdzieś u brzegów Tunisu dwa transportowce francuskie: *Carthago* i *Manoubę*. Na jednym wykryli aeroplan, na drugim grupę tureckich sanitarjuszów Czerwonego Półksiężyca. Oba statki aresztowano — zbyt pochopnie. Wiadomość o zajściu wywołała w Paryżu tak potężne i nagłe wzburzenie umysłów, że wobec ostrego tonu władz francuskich, Włosi pośpieszyli wypuścić z rąk „zdobycz". Ze swej strony Francja nie chcąc nazbyt upokarzać łacińską swą siostrzycę (*Voss. Ztg.* nazwała już ten zatarg „włoską Faszodą") postanowiła skierować sprawę przed sąd rozjemczy w Hadze, na co w Rzymie zgodzono się chętnie.

Leopold Meyet.

(Wspomnienie pozgonne.)

W sobotę po krótkich cierpieniach zmarł członek naszego stronnictwa, znany mecenas sztuki i piśmiennictwa, zbieracz i znawca pamiątek narodowych — Leopold Meyet.

B. uczeń Szkoły Głównej, kolegował na uniwersytecie lipskim z Chmielowskim, Ochorowiczem, i Świętochowskim, od roku zaś 1872 był współredaktorem *Niwy*, którą opuścił gdy przeszła w ręce zachowawców.

Z niezwykłym i gorącym pietyzmem, żywiąc kult wielkiej trójcy naszych wieszczów, zmarły ogłosił i wydał szereg cennych prac i monografji, jako to: studjum o wizerunkach Mickiewicza, 2 tomy „Listów do Matki" Słowackiego", listy, fragmenty i szkice i t. p.

Należał do grona zażyłych przyjaciół Elizy Orzeszkowej i Marji Konopnickiej i od roku 1907 był członkiem Warsz. Tow. Naukowego i Krakowskiej Akademji Umiejętności.

Gorący patrjota i szlachetny obywatel zapisał wszystkie swe cenne zbiory i cały dość znaczny majątek na cele publiczne, obdarowując Warszawskie Muzeum Miejskie *resp.* Muzeum Narodowe w Krakowie, ordynację hr. Krasińskich, Tow. Prawnicze w Warszawie, Muzeum Mickiewicza w Paryżu i sekcję Szopena przy Warsz. Tow. Muzycznym.

Wszystkie zbiory Meyeta mają niepospolitą wartość.

Nadto cały swój majątek, szacowany na 500,000 rb. przeznaczył Leopold Meyet na cele oświaty narodowej. Odnośny ustęp testamentu brzmi:

„Obserwując życie, widząc nędzę i bolejąc nad tem, że tyle sił ludzkich idzie na marne, szczególnie u dzieci, wskutek braku wychowania i oświaty — cały swój majątek ruchomy i nieruchomy ofiaruję na utworzenie „Funduszu wieczystego imienia Leopolda Meyeta na urządzenie i utrzymanie szkół w Warszawie".

Szkoły mają być trzech kategorji: 1) początkowe 2) rzemieślnicze 3) szkoły przy Muzeum.

„Zastrzegam sobie — pisze testator — że w szko-

ciw niemu, a w r. 1895-ym wyklęli *Naprzód* wszyscy biskupi galicyjscy wspólnym listem pasterskim, lecz jakoś „świątobliwe" anatemy nie nazbyt wiele zdziałały, gdyż wpływy *Naprzodu* wzrosły niebywale...

Nakoniec dodamy, iż jedną z najwyższych zasług, o ile spełnianie obowiązku idejowego zasługą zwać mamy, było to, co on sam o sobie w jednym z grudniowych numerów pisze:

„Piorunów naszych nie lubiliśmy zostawiać w cenzurze... Tyle, ile *Naprzód* zrobił dla *wolności prasy w Galicji*, nie zrobiło żadne inne polskie pismo".

(J. K.)

Biskupowi Kowalskiemu.

(Fraszka).

Czemuś nie zwolił, mój miły biskupie
Się zamordować prozelitów kupie?
Czemu sromotnie zwiałeś od owczarnie
Która się do cię z tym splendorem garnie?
Wiedyby, ludek, twe cenne kosteczki
Jako relikwie chowywał do teczki —
Byłyby zdrowe, trąc o twoją szatę
I opętane, tudzież trędowate,
A jabym kropił niezliczone razy,
Z twym konterfektem, w nimbusie, obrazy!
Ty, z góry, patrzyłbyś jako lud łzy leje,
Przed me, natchnione, klękając olejel
Gdybyś nie zemknął, cnoty arendarzu,
Figurował byś wdzięcznie w kalendarzu,
Sprzedawałyby po ulicach smyki,
Wraz z gazetami, twoje „mentaliki"...
Cóż? Nie zasłyniesz nad morza i lądy,
Gdyż nie umiałeś wznieść się — nad przesądy!

(Mir.)

Oberammergau w Łodzi.

Współpracownik nasz p. Mir potraktował z wesołej strony zjawisko niezmiernie ponure. Wśród marjawitów łódzkich, ofiar obłędnej ekstazy religijnej lub też podstępnych czyichś podszeptów, rozegrały się sceny, które strwożoną wyobraźnię

łach wykładowym ma być język polski, gdyż doświadczenie nas uczy, że tylko wykształcenie w języku rodzinnym jest celowe. Nauczycielami w szkołach mogą być tylko Polacy i Polki bez różnicy wyznania (a więc i osoby wyznania mojżeszowego), do szkół mają być przyjmowane dzieci również bez różnicy wyznania i ograniczeń procentowych."

Wykonawcami testamentu wyznacza: Aleksandra Kraushara, Stanisława Leszczyńskiego, Adolfa Suligowskiego, Włodzimierza Powichrowskiego i Aleksandra Świętochowskiego z prawem wyznaczania zastępców.

Pięknym żywotem zasłużył sobie Leopold Meyet na serdeczną wdzięczność narodu, którego był prawym synem, w imieniu więc wszystkich naszych czytelników i przyjaciół składamy hołd jego pamięci.

Reformacja i kontrreformacja wobec oświaty.

Rok poświęcony pamięci księdza Skargi musi się stać dobą rozpamiętywania zasług jezuickiej kontrreformacji, w tej bowiem dziedzinie rozwijała się i upamiętniła patryjotyczna działalność kaznodziei sejmowego i królewskiego spowiednika. Otwiera się tu przed nami bogate i wdzięczne pole historycznych wspomnień i roztrząsań, świeże, przez długi szereg lat skalpelem krytyki nietykane. Bunty kozackie, najazdy szwedzkie, wojny z Moskwą i Turcją, rokosze i konfederacje, cudowna obrona Częstochowy i wiekopomna odsiecz wiedeńska wypełniają dotąd niemal wyłącznie karty kroniki z owego okresu. Milczeniem dyskretnym pokrywa ona tak ściśle z zewnętrznymi wypadkami związany przełom wewnętrzny, który od Złotego Wieku Zygmuntów doprowadził kraj do rozprzężenia i spustoszenia czasów saskich.

Kwitnące miasta i osady, do których nietylko z całego kraju lecz z państw ościennych napływała żądna wiedzy młodzież, zaległy rumowiska i zgliszcza.

Słynne „Ateny sarmackie", arjański Raków, upadł, by nigdy już się nie dźwignąć, gdy wyrok senatu w 1638 roku skasował szkoły, drukarnie i zbór dyssydencki. W czasie najazdu szwedzkiego pobożni wielkopolanie spalili i zburzyli szkołę słynnego Komeńskiego w Lesznie a on sam ledwie zdołał uratować się ucieczką.

Ślub Jana Kazimierza, złożony we Lwowie przed ołtarzem Matki Boskiej, obwołanej przez pobożnego monarchę „Królową korony polskiej", zobowiązywał go do uwolnienia włościan od ucisku oraz do wytępienia heretyków, t. j. do dwóch rzeczy, nie leżących bynajmniej w mocy elekcyjnego króla Rzeczypospolitej. Szlachta ani myślała uwalniać włościan; sprawiedliwość wyznać nakazuje, że i dysydentów tępić nie miała bynajmniej ochoty.

Tutaj zaznaczyć wypada na obronę szlachty polskiej, tak często i tak słusznie piętnowanej za jej winy względem kraju, że w całym biegu owego okresu dziejów wypełnionych w całej Europie krwawymi walkami religijnymi i okrucieństwami inkwizycji, pastwieniem się nad wrogami wiary, wykazała ona bardzo wiele tolerancji, umiarkowania i humanitarnych uczuć. Zawsze znajdowali się w jej gronie nawet wśród przekonanych katolików rzecznicy sprawiedliwości i trzeba było tresury kilku pokoleń w szkołach jezuickich, zanim jej umysł przyćmić a przyrodzoną narodowi łagodność jadem fanatyzmu zatruć zdołano.

Tym razem trzebaż jednak było znaleźć jakiś punkt wyjścia w ciężkiej sytuacji, wytworzonej przez lekkomyślny układ, zawarty przez ziemskiego króla z Niebieską Królową. Sejm rozważał, co lepiej poświęcić: Żydów czy Arjan? Wypędzenie żydów groziło ciężkim przesileniem ekonomicznym, cały bowiem handel i kredyt był w ich ręku. Arjanie mieli po swej stronie tylko przewagę inteligencji i kultury, którą wyróżniali się nawet wsród dyssydentów. Wypędzono Arjan; upadły ich zbory, szkoły, biblioteki, drukarnie, z których wychodziły na świat dzieła, budzące podziw oświeconych społeczeństw Zachodu.

Gdziekolwiek w kraju istniał zbór protestancki i nieodłączna od niego szkoła i szpital, zakła-

---

przenoszą wstecz o dwadzieścia wieków gdy jeszcze na ziemiach śródziemnomorskich kwitły krwawe kulty Mitry, Astarty, Adonisa, Baala. Biedny obałamucony, ciemny robotniku polski! Tobie przypadł więc wątpliwy zaszczyt ustanowienia rekordu wszechświatowego na wysokość — wzlotów religijnej ekstazy! Twoja święta prostota nie zadawalnia się, jak ciżba pobożnych snobów w Oberammergau, dobrze uscenizowanym *dramatem* Męki Pańskiej; zechciałeś więc wśród błota łódzkiej ulicy powtórzyć raz jeszcze wiekopomne zdarzenie w dziejach ludzkości — chciałeś ze swej rzeszy dać światu nowego Chrystusa — na krzyżu, z przebitym bokiem, z głową bolesną w cierniowej koronie... Niestety! Historja się nie powtarza! Poncjusz Piłat nieumytymi dłońmi podpisze na cię wyrok za „poboi i naruszenie tiszyny". Zamiast wstrząsnąć światem w posadach wzbudzacie wstyd i zgrozę w ludziach kulturalnych swego kraju, dla obcych zaś będziecie, biedni, pośmiewiskiem.

Nic, wiek XX-ty nie sprzyja nowemu objawieniu, nawet tu, w kraju, który pozostał dziś jeszcze na poziomie pojęć i obyczajów żydowskiego plebsu z Jerozolimy za Tyberjusza i Heroda. Tylko, gdy tam kłótnie domowe i swary dewotów żydowskich, dziwnym zbiegiem rzeczy, rozlały się w olbrzymi ocean, co świat antyczny zatopił na 15 wieków, u nas awantura z biskupem Kowalskim w łódzkiej gminie marjawickiej nie przestała być burdą uliczną, dość niezwykłej coprawda natury.

Podkład „ideowy" tej nieprawdopodobnej brewerji świadczy niezbicie, iż mimo pewnych dodatnich stron Marjawityzm nietylko nie dźwignął ludu naszego z nizin dzikiego fetyszyzmu — ale naodwrót, przywiódł go jakby wstecz ku fazie katolickiego średniowiecza, pełnego mistycznych uniesień, krwawych stygmatów, strasznych umartwień i wszelakich „cnót heroicznych" nieznanych łudziom tegoczesnym.

Grono rozszalałych, pół obłąkanych kobiet łódzkiego pospólstwa, upatrując wcielenie Trójcy w osobach trzech kapłanów marjawickich, działało w duchu arcykatolickich wewnętrznych objawień. Żadnemu kacerzowi nic podobnego nie przyszłoby do głowy; tylko Rzym ze swemi mitami i misterjami Południa i Wschodu mógł do tego stopnia zamącić biedne polskie prostacze mózgi. *L. G.*

dali swe kollegjum Jezuici, niby zbrojną redutę, z której nie w przenośni lecz dosłownie padały pociski na twierdzę herezji. Nieuchronne w takim położeniu „tumulty" kończyły się zawsze spaleniem, zniszczeniem, zupełną ruiną zboru, przyczym w pierwszym rzędzie księgi heretyckie padały pastwą płomieni.

Ile cennych zabytków ówczesnego piśmiennictwa, nieoszacowanych dokumentów do dziejów umysłowości i kultury polskiej uległo w ten sposób zagładzie, dziś wyliczyć trudno. W dymie płonących stosów, w zwaliskach zburzonych szkół i kościołów zapadła się nowożytna budowa Polski, gdy zaledwie jej zrąb wyrastać zaczynał w pełnym słońcu Odrodzenia.

Ażeby ocenić, czym stała się reakcja jezuicka dla rozwoju kraju, nie dość wykazać, co doń wniosła, należałoby oszacować, co nam zabrała.

Po systematycznej dewastacji, dokonywanej w ciągu stu lat przez Jezuitów i z ich natchnienia, sporządzenie pełnego regestru strat przedstawiałoby niemałe trudności. Dziwić się też nie można, że jedyne dzieło, obejmujące całkowite dzieje reformacji w Polsce [1]) dopiero w 1905 r. ukazało się w polskim przekładzie, choć drukowane było więcej niż pół wieku wcześniej po angielsku, w Anglji, a przez Polaka napisane zostało. Data wydania książki wyjaśnia, dlaczego nie wzbudziła ona w swoim czasie żywszego zainteresowania. W ostatnim dziesięcioleciu ukazało się nadto kilka cennych dzieł, poświęconych różnowiercom polskim [2]) i walkom religijnym w Polsce, a obecnie litewski synod kalwiński rozpoczął druk „Zbiorów pomników Reformacji Kościoła polskiego i litewskiego".

Uważny czytelnik zdoła i w tym zbiorze luźnych dokumentów znaleźć cenne szczątki owego zaginionego świata i na zasadzie ułamków odtworzyć w myśli obraz całości takiej, jaką była i jaką stać się mogła, gdyby nie była przedwcześnie padła ofiarą pogromów jezuickich.

Już w pierwszym zeszycie wydawnictwa spotykamy taką osobliwość, jak najdawniejszą, bo z 1592 roku datującą próbę zaprowadzenia przymusowej nauki szkolnej dla ludu w dobrach Eustachego Wołłowicza, fundatora zboru w Nowym Mieście. Dzieci wszystkich poddanych miały co zimę uczęszczać do szkoły, by się uczyły „paciorza, wyznania wiary i dziesięciorga przykazań". Wolno przypuszczać, że nauka obejmowała program cokolwiek szerszy, gdyż obowiązywała dzieci od 8 — 15 lat i to pod karą pieniężną kopy groszy. Obok zboru i szkoły ufundował Wołłowicz szpital dla poddanych, nie mogących pracować skutkiem choroby lub starości. Kary pobierane za opuszczenie nauki przeznaczał na potrzeby szpitala. Gdyby uczęszczające do szkoły dzieci nie miały żywności w domu, polecał dawać im wyżywienie we dworze, „do toho czasu, pokulsia nauczyt".

Równie ciekawym jest zapis pani Zofji z Mitkiewiczów Wnuczkowej, wielce pobożnej kalwinki, która w swych dobrach niejeden zbór ufundowała, nie zapominając nigdy o szkole. W akcie, sporządzonym na rzecz zboru w Szydłowie daje szczegółowe wskazówki, dotyczące wykonania zapisu, spowiada się ze swych pobudek, objaśnia, jak mają być dobierani, uposażeni i traktowani bakałarze i w jakim duchu pracować. Szkoła Szydłowska miała być szkołą partykularną zawilejskiego dystryktu i posiadać trzech nauczycieli. Bakałarz miał pobierać „100 złotych" (1500 rb.) i słuszne wychowanie (czyli utrzymanie) jego pomocnik 40 zł. (600 rb.) a „trzeci, któryby pisma ruskiego uczył, to jest Diakowy" 30 zł. (450 rb.) obaj obok „słusznego wychowania". Widzimy, że uposażenie, jak na owe czasy, wcale niezłe i nie wiele mniejsze niż to, które otrzymywali duchowni protestanccy. Bakałarz powinien być w naukach biegły, uczony, przykładny „aby się młodzież chrześcijańska darmo krom żadnej zapłaty magistrom i bakałarzom od działek uczyli i ćwiczyli się najprzód do bojaźni Boga a za postępkiem czasu ku godnym służbom Ojczyzny swej z najwiętszą ozdobą Rzeczypospolitej Państwa tego z ćwicze-

[1]) „Zarys dziejów powstania i upadku reformacji w Polsce", przez hr. Walerjana Krasińskiego, Warszawa, 1905. Nakładem „Zwiastuna Ewangelicznego".

[2]) „Różnowiercy polscy" Brücknera, „Arjanie polscy" [illegible] Zygmunta III-go", Sobieskiego „Deiści i wolnomyśliciele polscy za Jagiellonów".

Gustaw Olechowski.

FETYSZ.

(Ciąg dalszy).

Czuł, że wre w nim pasja tworzenia industryi, szukania złota, nafty, organizowania trustów, gry na giełdzie, rujnowania miljarderów.

Budziła się w nim amerykańska bestja. Wiedział już że ludzie są marni wobec miljonów, nie wiedział jeszcze jacy są wobec biedy, a jacy w walce o byt, w kolekcjonowaniu dolarów. Gardził już ludźmi, których znał, gdy był miljonerem, wierzył jeszcze w ludzkość, w ludzkość dzisiejszą, w tę, która zdobywa dobrobyt i bogactwa, a która kładzie podwaliny pod przyszłą szczęśliwość beztroski, jako podstawy doskonalenia się moralnego.

Jedno go tylko bardzo bolało. Źle się obrachował. Myślał, że za 40 miljonów dolarów będzie się bawił ze dwa lata, a tu w rok wszystko poszło.

Przyjechał do New-Yorku zgoła goły jak czerep marabu. Udał się teraz do swego notaryusza Mistera Monkey'a, którego był w swoim czasie tak hojnie obdarował.

Monkey przyjął go z otwartym sercem i kieszenią. Był to stary kawaler bezdzietny i bezkobietny, majętny i pijaczyna, lubił niezmiernie Viviena, którego znał od dnia jego urodzin, a że go ujrzał teraz bez grosza, chętnego jednak do pracy, dał mu do ręki coś nie coś i postanowił zapisać mu testamentem cały majątek kilkakroć wynoszący, gdyż nie miał, oprócz bratanka jedynego, którego nienawidził serdecznie, nikogo z bliższej rodziny. Tak też zrobił i Vivienowi testament wręczył.

Gdy wracał raz późno wieczorem do domu w stanie, jak zwykle, mocno nieczułym na równowagę, zauważył, że zapomniał klucza, a mieszkał w willi samotnej w ogródku. Służby budzić nie chciał, gdyż był człowiekiem ludzkim, podważył więc lufcik, przełożył rękę, otworzył okno, a że było lato, nie zamykał go już i tak się spać położył. Ledwo zasnął, zbudził go jakiś hałas pijaków, dolatujący z ulicy, chwycił więc ze snu, pół

nia nauk wyrastać mogli." Bakalarze — naturalnie — mieli być protestantami ale „dzieciczki chociażby nie były Ewangelikami rodzice ich, jednak do szkoły dla nauk mają być przyjmowane, tylko aby Pana Boga nie bluźniły". A oto pobudki.

„Oświatczam się y przed wszystkiemi ludźmi, teraz i potem na świecie będącemi, yż tę dobroczynnosć moją krześciańską nie chluby a chwały nikczemnej świata tego prawie obłudnego pragnąc, pokazuję, albo żebych się za to doczesne dobro nagrody wiecznej od niego spodziewała y w dobrych uczynkach nadzieję dusznego swego zbawienia pokładała, gdyż dał to mnie Pan Bóg moy z laski y z miłosierdzia swego świętego dobrze wiedzieć, ysz przez samą wiarę w Pana Jezusa Krystusa spodziewać sie ma każdy człowiek zbawienia swego, którą jednak wiarę wszyscy Krześcianie dobrzy nie majętnością ale pobożnym y Bogobojnim żywotem wyświadczać tu na świecie mają i powinni są. A tesz nikt się z nas tym nie może pochlubyć, aby miał mieć co, czegoby od Pana Boga nie wziął y ktemu chociabyśmy wszystko, co nam jest rozkazano czynili, przedsię rozumieć mamy o sobie, żeśmy nie są użyteczni sługy Pana swego".

W tymże samym zeszycie znajdujemy też umowę, zawartą między starszymi zboru krakowskiego a rektorem szkoły, Janem Tanaudusem z dnia 10 marca 1572 roku

(d. n.). *I. Moszczeńska.*

POEZJA.

Wiersze wachlarzowe.[1]

(Z chińskiego).

SMUTEK ROLNIKA.

Śnieg leci, leci...

Zwiewne płatki, jak rój białych motyli, pocichutku spadają na ziemię...

Rolnik w zadumie złożył swe radło. Coś nakształt niewidocznych nici zaciska mu serce.

Rola to jego przyjaciołka. Gdy pochylał się ku niej, by pełen nadziei zawierzyć jej siewy, rzucał w nią także tajnie własnych myśli, odnajdując je potym, całe w rozkwicie, gdy pierwszy kieł puściły ziarna..

A teraz rola — przyjaciółka kryje się pod białym mroźnym welonem śniegu..

MYŚL, SKREŚLONA NA BIAŁYM SZRONIE.

Biały szron ośnieżył krzewy, upodobniając je do upudrowanych lic kobiety...

Stojąc u okna, myślę, że mężczyzna bez kobiety jest, jako krzew, odarty z liści...

I by zbyć się smutku, co mną owłada, żarem westchnienia kreślę swą myśl na białym szronie zamarzłej szyby.

DRWIĄCE KWIATY I MOTYLE.

Była góra, a na niej rzędem stały poważnie najeżone sosny. Pod nimi pstrzyły sie na jedwabiu traw jaskrawe kwiaty..

Rade z barwnego stroju, często śmiały się z posępnej szaty sosen, a złote roje motyli też dołączały swoje złośliwe uśmiechy...

Lecz w zimowe rano, gdym przyszedł obejrzeć górę, sosny śniegiem sprószone wciąż piętrzyły się poważne i zamyślone, a oczy moje daremnie szukały drwiących kwiatów i motyli...

Remigjusz Kwiatkowski

[1]) Oddawna utarł się w Chinach zwyczaj przyozdabiania poezją wachlarzy. Na nich znalazły ujście wdzięczne mikropoematy, ujęte w poetyckiej rozlewnej prozie i stanowiące prawdziwe klejnoty chińskiej liryki. Zwyczaj ten rozpowszechniony jest po dziś.

---

nieprzytomny jeszcze rewolwer, który miał pod poduszką, a wyskoczywszy z łóżka tak nieszczęśliwie obsunął się na dywanie, że upadł, rewolwer wypuścił, nastąpił wystrzał, który wysłał kulę w pierś otwartą. Ładunki rewolweru były bezszumne. Nikt nie słyszał wystrzału. Dopiero rano dowiedziano się o śmierci Monkey'a; ale z jakiej przyczyny, tego nikt nie wiedział. Reporterzy, sędzia śledczy i policya jednogłośnie orzekli, że samobójstwo jest wyłączone, gdyż Monkey znany był z pogodnego usposobienia i szczęśliwego żywota, natomiast okno otwarte, ślady stóp w ogrodzie pod oknem, drzwi zamknięte i klucz wewnątrz dowodziły jasno, że Mr. Monkey nigdzie nie wychodził, że rabuś w nocy przez okno wpadł w celu kradzieży, notaryusz wyjął rewolwer, by strzelić do rabusia, lecz ten zdążył Monkeyowi rewolwer wyrwać i jego zastrzelić. Jedno tylko było niejasne, to mianowicie, że ani zegarek, ani pierścień brylantowy nie były skradzione.

Vivien opłakał przyjaciela, a w tydzień jakiś po jego śmierci zgłosił się do władz z testamentem nieboszczyka na swoją korzyść.

Niezwłocznie został aresztowany. Prokurator tryumfował. Oto miał w ręku zabójcę Monkey'a. Jakże nadzwyczajnie wszystko się zgadzało. Rzecz prosta. Vivien Dollar, niepoczytalny rozrzutnik, stracił cały majątek, nie miał teraz co jeść. Postanowił więc sfałszować testament Monkey'a, gdyż znał dawno poczciwego notarjusza i stan jego majątku, a potem, dla szybkiego dojścia do pieniędzy, zgładził go ze świata, spiesząc się, by tenże nie napisał aby rzeczywistego testamentu. W ten sposób Vivien został oskarżony o fałszerstwo dokumentu oraz o morderstwo. Nic dziwnego, że Mr. Dollar nie ukradł zegarka notarjusza, ani jego pierścienia. To nie był rzezimieszek, ale zbrodniarz w wielkim stylu.

Niestety Vivien nie mógł udowodnić swego alibi, gdyż w nocy, gdy się stało morderstwo, zapamiętywał się w sypialni żony prokuratora, który go właśnie oskarżał, a który był w innem mieście za interesem służbowym. Po dziadku swym markizie odziedziczył zaś był Vivien punkt honoru mężczyzny, że kobiety, która zaufała, zdradzić nie można w żadnym razie i pod żadnym pozorem.

Viviena trzymano w więzieniu, gdzie go co-

KRYTYKA.

Zza kulis krytyki literackiej.

IV.

Zaborczość ludzka, idąc drogą najmniejszego wysiłku, objawia się przedewszystkim jako żądza sądzenia. Odbija się to nawet na charakterze mowy, która posiada rzeczowników i przymiotników służących do oceny o wiele więcej, niż tego wymaga rzeczywista potrzeba. I tak np. zaledwie na określenie spraw płciowych istnieje tyle „odcieni", ile na wyrażenie pojęcia. głupiec. Te zbyteczne wyrazy mają znaczenie raczej dźwiękowe niż przedmiotowe i służą już do oceny urojonej Naturalnie jest ich w kierunku poniżającym więcej niż w entuzjastycznym. Wyrażenie „wymyślać komu" należy więc brać doslownie. Hebbel zauważył raz, że lud bywa w klęciu poetycznym; mógł również powiedzieć: dowcipnym. Jest to kategorja tych dowcipów, jakie się rodzą na tle znudzenia, monotonji lub roztargnienenia, podobnie jak gwary wytwarzające się przy pewnych zawodach lub grach. Za pomocą takich to silnych rąbnięć mowy człowiek tanim kosztem utrzymuje się jako tako w równowadze duchowej, degradując nimi rzeczy niewygodne, bolesne, przykre lub nazbyt mu imponujące. Jestto jeden z objawów samorodnej „hygieny" (¹) ducha.

Aby przytoczyć codzienny przykład: każdy zapewne zauważył, ilu wśród ludzi jest samozwańczych arbitrów elegantiarum Nie można się ruszyć, zrobić miny, powiedzieć żartu, zbudować domu, dać ram do obrazu, kupić sobie krawatu, łańcuszka do zegarka lub perfumy — bez tego, żeby jakiś arbiter nie zawyrokował na poczekaniu, że to jest nietaktowne, niesmaczne, ordynarne, lub w złym guście. Zarówno w narzucaniu takich sądów, jak w apodyktycznym formułowaniu ich, okazuje zwykle ów arbiter równocześnie sam elementarny brak taktu. Dobry smak jest przymiotem trudnym do sprawdzenia, uzurpować go sobie łatwo. Czynią to też zwłaszcza kobiety — zeńskiego i męskiego rodzaju — zdaje się dlatego, że gdy mężczyzna ma dosyć pól do zadowolenia ambicji, one przynajmniej tę dziedzinę chcą zachować na swój monopol.

Ale tytuły do wyższości mogą być przeróżne: dziw nawet zbiera, jak nieskończenie mało nieraz ludziom potrzeba, aby na tym okruchu wspięli się ponad bliźniego swego. Nawet jakakolwiek różnica lub odrębność już wystarcza do obudzenia w sobie szczytnych uczuć wyższości: blondyn staje się wówczes „oblazłym blondynem", kobieta „babą", dziecko „smarkaczem", profesor „belfrem", socjalista „socjałem", niemiec „szwabem", Rusin „Rusnakiem", żyd „szmajugełesem". Zwłaszcza u dzieci w szkole objawia się dobitnie to korzystanie z pierwszej lepszej okazji do tego duchowego kanibalizmu in continuo, a naiwny szowinizm i antysemityzm, pielęgnowany w naszych rodzinach, gromadzi u każdego z nas w latach dziecięcych naładowania tego rodzaju ulicznikowskiej energji, które nieraz i później niespodzianie dla nas samych wybuchają jako doraźna zemsta.

W krytyce artystycznej ta „potrzeba" naszego ducha, pospolicie arbitralnością zwana, posiada jakby umyślnie dla siebie stworzone boisko, albowiem oceny zjawisk artystycznych nie są tym samym co np. ocena wytrzymałości mostu, czymś mało sprawdzalnym i mało odpowiedzialnym. A przytem prawa do wyrokowania tutaj nie można zarezerwować dla „fachowców" pomimo całej zawiłości przedmiotu, gdyż sprawy artystyczne z natury swojej są i muszą być demokratycznymi, obchodzącymi każdego, — podobnie jak życie codzienne, które jest przecież najzawilszą syntezą wszystkich problemów a jednak przez każdego i na każdym kroku rozstrzygane być musi. Zjawisko snobizmu, od którego zaczyna się kultura artystyczna tak narodów jak jednostek, jest tylko jedną karykaturalną stroną tej wszechaktualności spraw artystycznych, zwłaszcza literackich. Towarzysząca zaś zresztą nietylko snobizmowi, arbitralność, pochwalna i ganiąca, znajduje w zastosowaniu do tych spraw subtelne narzędzia w całym repertuarze uczonych zwrotów i chwytów krytycznych, jakie stwarzała i wzbogacała krytyka od czasów Arystotelesa i Horacego do Feldmana. Twórczość w dziale tej nomenklatury zasilała krytykę arbitralną jak objektywną.

---

dziennie odwiedzał ktoś z urzędu i z amatorstwa za specyalnem pozwoleniem.

Naprzód sędzia zadawał mu pytania.

— Czy podsądny przyznaje się do winy?

Vivien odparł:

— Przyznaję się, że mógłbyś się pan, panie sędzio, lepiej orjentować w swoim fachu.

— Czy pan miał zamiar okraść ś. p. notarjusza Monkey'a? — zapytał znów sędzia.

— Gdybym nawet to zrobił, jeszcze notaryusz Monkey nie udałby się do takiego durnia jak pan, który do więźnia bezbronnego przychodzisz, jak tchórz, z dwoma konsteblami.

Nazajutrz odwiedził go prokurator:

— Uprzedzam pana, panie Dollar, mam w ręku dowody przeciwko panu, przyznaj się pan do winy. Czy pan sam fałszowałeś testament, czyś komuś polecił i komu?

A Vivien mu na to:

— Jeżeli wszystkie oskarżenia pańskie są tak podstawne, jak to, które względem mnie wytaczasz, i jeżeli sąd im ulega, skazując ludzi niewinnych, to pan jesteś największym zbrodniarzem, jakiego ludzkość wydała. Według praw, które pan reprezentujesz, powinieneś pan gnić w kajdanach.

Jeszcze potem reporter największego dziennika *New York Liar* miał dozwolony interview ze zbrodniarzem.

Reportera owego znał Vivien, pozwalał mu się dawniej eksploatować, poił go szampanem, ręczył za niego weksle.

Teraz ów dziennikarz, nie witając się wcale z dawnym przyjacielem, zadał mu takie pytanie:

— Czy pan więzień zdaje sobie sprawę, jaką drogą psychologicznego upadku—z człowieka gentelmana stał się naprzód utracyuszem, pozbawionym zdrowego rozsądku, a potem zbrodniarzem, zabójcą swego przyjaciela i fałszerzem testamentu?

— Przyznam się panu, odrzekł Vivien, że nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, jak można żyć wśród takich gadzin, jakimi są wszyscy porządni ludzie w pańskim rodzaju i panu podobni. I mogę pana upewnić, że gdybym miał pod ręką choć jedną butelkę po tym szampanie, któregoś pan u mnie wychlipał, tobym ją roztrzaskał o pański łeb, mieszczący w sobie esencję kretynizmu i wyciąg z podłości.

Oba te gatunki krytyki schodzą się z sobą w pewnych punktach, i wtedy doprowadzają nieraz do wyników, o których powiedzieć można, że najstraszniejszym jest głupiec, który ma cokolwiek słuszności. Ale zresztą arbitralność jest nieuniknioną a nawet niezbędna. Jak w wielu innych dziedzinach tak i tu pobudka woli zaostrza intelekt, a nawet stawia mu zadania. O tem wie bardzo dobrze każdy recenzent teatralny, który zaraz po premierze musi mieć i formułować zdanie, bo mu zato płacą. Mówię z własnego doświadczenia. Naturalnie nie święci garnki lepią Zadanie i sympatja krytyka ustalają się dość rychło, argumenty nasuwają się dość usłużnie, i tak recenzja dostaje ręce i nogi i może iść w świat, — ostatecznie, gdy tam popełni jakąś niesprawiedliwość lub przesadę, od tego się dziura w niebie nie zrobi. Czasem jednak argumenty nie schodzą się na ko meudę; ma się wprawdzie w głowie pewną ogólną koncepcję sądu lecz trudno jakoś do niej dotrzeć, myśl wpada w ślepe uliczki; zamiast organicznego rozrastania się sądu nanizuje się uwagę do uwagi, potrąca się o pewne problemy, aby się z nich zaraz wycofać i zatrzeć za sobą ślady. Sam raz przy pewnej recenzji doznawałem powoli wrażenia, że, zamiast jak mi się zdawała wydawać sąd, opisuję tylko — choć z ujemnym zabarwieniem -- pewien proces artystyczny, który może podpaść także pod zupełnie inną ocenę, — i że właściwie tylko w tryumfie z uświadomienia sobie tego procesu i wykrycia pewnych jego mechanizmów czerpię pochop do wydawania o nim ujemnej opinji. Lecz alea jacta est, dziura się w niebie nie zrobi — w końcu zwycięża zawsze poczucie, że ma się przecie „w ostatniej instancji" słuszność, choć może inną drogę wybrać należało. Arbitralność przez samostwierdzanie faktu była tu, jak widzimy, podobna jak w przykładach z „belfrem" i ze „Szwabem."

Z tym wiąże się jeszcze druga sprawa serdeczna, której poruszenie ukaże nam ten sam widok z innej jeszcze groźniejszej dla nas strony.

(C. d. n.) *Karol Irzykowski.*

Z Teatrów.

Elektra Hofmansthala jest monografją namiętności. Jest to namiętność, doprowadzona do stanu wrzenia, monomanja, która tak jak ogień wytrawia to wszystko, co nie jest nią samą. Jest to żądza odwetu równie potężna, jak skąpstwo Harpagona lub zazdrość Otella. Jeżeli namiętność przekracza pewną miarę, to na wyższym stopniu rozkwitu traci swój charakter udzielny. Zazdrość przestaje być odpychająca, skąpstwo — śmieszne. Na pewnej wysokości namiętność każda staje się podniosłą i groźną, żywiołem tragicznym, ręką losu, który dławi i miażdży.

Elektra Hofmansthala jest tragiczną przez to, że jako jednostka harmonijna ginie i żyje tylko dla swej namiętności. Kiedy namiętność osiągnęła swój cel, Elektra pada i umiera. Nie może przeżyć swej namiętności, ponieważ gdy ta, nasycona mordem gaśnie, zostaje pustka.

Hofmansthala olśniło inne artystyczne zadanie, niż Sofoklesa. Elektra Sofoklesa jest naturą „zdrową", harmonijną, posłuszną bogom. Jak naszych wielkich poetów (Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego) pociągała zamierzchła legendowa przeszłość Polski, tak greka z czasów Peryklesa-- mitologiczna przeszłość Grecji. Była to dla poetów skarbnica potężnych namiętności, epoka wyłaniania się ładu społecznego z chaosu, formowania się religji, wbijania pali pod przyszłą budowę greckiej społeczności. Grek starożytny czcił w Elektrze i Antygonie nie tylko kreację artystyczną, lecz również uosobienie boskiego prawa harmonji i słuszności — jednostkę, która w pierwotnej pełnej krwawych czynów epoce mordowała nie *bezbożnie*, lecz po *bożemu* i w ten sposób przyczyniała się niejako do przyszłego wspaniałego rozkwitu Aten. Gdyby wszyscy mordowali jak Lykaon, który aby się przekonać, czy wędrowiec, który go nawiedził jest Zeusem czy nie, zarznął danego mu zakładnika i chciał jego ciałem uczęstować boga, to nie byłoby po wiekach wielkiej Grecji. Lecz w owej surowej epoce niebezpieczną byłoby rzeczą zakazywać wogóle mordu i odwetu. Ciało zbyt krwiste, zbyt gwałtowne i potężne buntby podniosło przeciwko temu zakazowi. Ciało ówczesne

---

Potem odwiedził Viviena pewien znakomity malarz—rysownik, któremu polecono wykonać portret zbrodniarza dla pism ilustrowanych. Vivien, ujrzawszy w ręku jego ołówek i papier i przypomniawszy sobie, że ongi ten sam malarz skomlił w przedpokoju jego ojca, ofiarując mu się do sportretowania całej rodziny, schował teraz twarz w okno celi więzienia, uwolniwszy jednocześnie zelki od dźwigania kortu.

Wreszcie pewnego dnia — podczas ponownej wizyty prokuratora, zjawił się do celi sławny aktor New-Yorski dla studjów twarzy zbrodniarza. Aktora tego nieraz obdarzał Vivien prezentami i kwiatami. Teraz ograniczył się na tym, że plunął mu w twarz.

Po kilku tygodniach ustaliła się opinia zarówno w mieście, w Stanach Zjednoczonych, jak w całej Ameryce, Europie i nawet w Rypinie, gdzie sprawą tą żywo się zajmowano, mianowicie ta -- że wprawdzie głośny Vivien Dollar zabił Monkey'a i sfałszował testament, straciwszy cały swój majątek, to jednak bez żadnego wątpienia jest on niepoczytalnym waryatem, wskutek czego musi być zwolniony od wszelkiej odpowiedzialności i zamknięty w domu pomylonych.

Nareszcie przyszedł dzień sądu. Przysięgli wysłuchali mowy prokuratora, mowy adwokata z ramienia bratanka Monkey'a, który żądał zwalenia testamentu i przyznania mu spadku, wreszcie gotowi byli wysłuchać obrony. Lecz Vivien odrzucił wszystkie propozycje adwokatów i postanowił sam się bronić.

Gdy przyszła kolej na niego, a prezes sądu udzielił mu głosu bezwzględnej obrony — Vivien powiedział:

— Powtarzam jeszcze raz: testament jest autentyczny.

— Sądzenie człowieka w takich warunkach, w jakich wy to czynicie — wszystko jedno, winnego, czy niewinnego, z całem bezwzględnem ujawnieniem jego życia, jest torturą, która najzupełniej już winę nawet bardzo winnego odkupuje. Wystawiliście mnie na widok publiczny, pod pręgierz ulicy, na widownię, fotografowie i malarze pastwią się nademną, kopiując moją zbolałą twarz, reporterzy notują każde drgnienie moich powiek. Czyż

nie pozwalało na taką „wspaniałomyślność" ze strony boga. Religja mogła jedynie unormować sprawę zabójstwa i odwetu, dając swoją aprobatę „słusznemu" rozlewowi krwi, a potępiając „niesłuszny". Słowem — Elektra Sofoklesa jest typem społecznym, jedną z tych, które pilnują sprawiedliwości, budowniczką państwa i ładu. Odpłaca ona za korzywdę *rodu*. Elektra Hofmansthala również mści się za ród, lecz ten motyw ginie w głębokim cieniu. Naprzód występuje złowieszcze piękno żywiołu — piękno trawiącej energji.

Że pod piórem poety współczesnego motywy i cele sofoklesowe tak się przeobraziły—ma to niejedną przyczynę.

W epoce mieszczańskiego rozdrobnienia się namiętności i zaogniania się jej tylko wtedy, gdy chodzi o giełdę i jej „walory", każdego artystę żywiołowo nęci zamiar odmalowania namiętności w całej potędze i szale. Trudno również artyście spółczesnemu wystawiać Elektrę jako zwolenniczkę ładu współczesnego. Piękne to było, gdy ten ład był helleński—byłoby szpetne, gdy jest — junkierski pruski.

Elektrę grała p. Stanisława Wysocka. Niepospolita artystka oddała grozę rozszalałej namiętności Elektry, nie uroniwszy nic z tej ponurej siły, jaką obdarzył poeta współczesny mistyczną bohaterkę grecką. Było to przedewszystkiem szalejące ciało, ciało uginające się pod ciężarem chuci i upojone nią, rżące i parskające. A taką właśnie Elektra Hofmansthala być powinna.

Na swój benefis wybrał p. Kazimierz Kamiński sztukę Bernarda Shawa — *Uczeń Szatana*. Sztuka ma dużo efektów jaskrawych: aresztowanie, sąd wojenny, szubienica na scenie. Te efekty rzecz prosta, nie mogą mówić ani za ani przeciw sztuce. Niezależnie od nich — sztuka jest słaba. Tylko akt pierwszy — mocny, zwarty, usiany gęsto klejnotami humoru Shawa. Inne wodnisłe, choć tu i owdzie zalśni rakieta dowcipu lub oryginalnego spostrzeżenia. Bądź co bądź, trzeba być krótkowidzem, aby nie widzieć, jak po pierwszym akcie wartość artystyczna sztuki, jej życie, i energja nagle przygasają. Sztuka jest jak zwykle sztuki Shawa — satyrą na wiele rzeczy i zjawisk społecznych: na oschłość uczuć pod płaszczykiem religji, na zwodniczość pozorów, na nieumiejętność orjentowania się w motywach i pobudkach cudzych czynów, na krwiożerczość, zamaskowaną sztandarem obowiązku społecznego... W tej właśnie błyskotliwej wielostronności i nieuchwytności Shawa, którego pochłaniają naraz tysiące sprzecznych zagadnień, tkwi czar jego talentu, jako autora wysoce *bezpartyjnego*, którega moralność polega na tem, by nigdy nie osiadać na mieliznach stronnictw, czy partji, dać się przeciągnąć na czyją stronę, stać się czyimś rzecznikiem. Wobec życia chce Shaw zajmować stanowisko *niezależne* — oto jego dostojność.

Lecz, wybierając tę właśnie sztukę znakomitego autora, nasz znakomity aktor Kamiński nie dokonał wyboru szczęśliwego. Można było dać Shawa w dziele nie mniej charakterystycznem, a większej wartości artystycznej.

Ogółem, w ciągu siedmiu miesięcy swoich występów p. Kamiński wystawił tylko dwie sztuki, „Grube Ryby" Bałuckiego i „Ucznia Szatana" Shawa. Można śmiało powiedzieć, że wznowienie „Grubych Ryb" nie było ani trochę potrzebne. Wartość kulturalna dla miasta tych kilkudziesięciu wieczorów, spędzonych w teatrze na oklaskiwaniu doskonałej gry w słabej sztuce jest bardzo problematyczna. Choćby aktor grał genialnie, nie może niczem powetować tej szkody, jaką wyrządza ogółowi, zajmując jego uwagę w ciągu kilkudziesięciu przedstawień popisami tylko kunsztu aktorskiego tam, skąd w ogół iść powinno również mocne i artystyczne słowo autorów.

Leon Choromański.

Podpatrywanie życia.

Piotr Choynowski **Zdarzenie**. Spółka nakładowa „Książka".

Nowele p. Piotra Choynowskiego świadczą o niewątpliwym talencie. Autor umie nadawać swym utworom rytm żywy, sangwiniczny. Każda nowela stanowi pewną całość, z której już nic odkroić się nie da. Niema tu tych dłużyzn i roz-

to nie jest ukrzyżowanie człowieka? Czyż to nie haniebne — robić sobie sport z ludzkich cierpień?

— Nic do wiary, ile w was tkwi instynktów zwierzęcych, które budzą się, ilekroć mogą łatwo wybuchnąć po linji najmniejszego oporu.

— Gdy usłyszałem tu zeznania świadków, dawnych przyjaciół moich, zeznania, pozbawione najostatniejszej kropli zwykłej litości dla cierpiącego, któremu wszak winy nie udowodniliście i nie udowodnicie, zeznania, w których ujrzałem chęć rzucenia jeszcze jednego kamienia w człowieka, już i tak ukamienowanego — wierzcie mi, stracić można wiarę w ludzkość.

— Wiem, że społeczeństwo, jeżeli chce żyć w zdrowiu, musi usuwać z pośród siebie zbrodniarzy, tak jak miasto musi dokonywać operacyj asenizacyjnych. Ale wszak operacyj tych dokonywa się w nocy, żeby nikt nie widział i nie miał przykrości asystowania przy pracy może pożytecznej ale bardzo śmierdzącej.

— Dlaczego ludzie z taką rozkoszą biegną asystować przy najprzykrzejszej operacyi usuwania z liczby żywych jakiegoś nieszczęśliwca?

— Czy dla zdrowia publicznego, nie byłoby zbawiennem, gdyby sprawa sądowa była tylko sprawą sądową, a nie wsiąkała w najszersze warstwy społeczne swymi zarazkami drogą reklamy dziennikarskiej? Czy jest czynem obywatelskim popularyzowanie sprawy zbrodniarzy? Czy jest czynem ludzkim względem podsądnego?

— Powtarzam więc: testament jest autentyczny, sprawcą śmierci Monkey'a nie jestem ja. Byłem wówczas gdzieindziej. Ta kobieta, która mnie przyjmowała w noc ową więcej niż gościnnie, mogłaby mnie uwolnić, ale ona do tego się nie przyzna, choć miała odwagę zdradzić męża, - o ilem doświadczył w innej sprawie — bardzo srogiego.

Vivien przytem spojrzał na prokuratora. Zapanował ruch zdziwienia po sali. Vivien mówił dalej:

Ale nie będę się bronił. Nawet powiem więcej: żałuję, że nie jestem naprawdę zbrodniarzem, bo wówczas nie byłbym przeszedł w więzieniu tyle tortur wstydu, jakiego doznałem, jako człowiek niewinny, ujrzawszy przy robocie was wszystkich Wstyd mnie, żem człowiek i że jestem obywatelem tego kraju, który ma wśród swych granic tych wszystkich, którzy zrzuciwszy wual człowieczy, jak hyeny rzuciły się na moją celę więzienną, węsząc tam

wiekłości, tego gawędziarstwa niepotrzebnego, na które nowelistyka polska choruje dotąd. Autor umie przemawiać językiem odpowiednim do charakteru każdej osoby. Ma on zdolność dosadnej i bardzo zwięzłej charakterystyki. Kiedy opisuje, czyni to z zapałem i w słowie jego pulsuje rozkosz przeżywania tej lub owej sytuacji. Słowem, p. Piotr Choynowski ma niewątpliwie dużo cennych danych, aby zostać doskonałym pisarzem. Jak tych danych używa?

W pierwszej noweli swego zbiorku p. t. „Altruista" opisuje miłość nieszczęśliwą biednego urzędnika Łaszczkiewicza do dziewczyny upadłej, przyczym przedewszystkim obserwuje, potem trochę drwi, wreszcie nieco sympatyzuje z biedakiem. W drugiej noweli p. t. „Barowska" autor wchodzi do rodziny mieszczańskiej, odtwarza swary i zgryzoty zapracowanej kobiety, jej opędzanie się przed nędzą, atmosferę ciężkiej pracy i mydlin. W wybornie napisanym „Zdarzeniu", znów ze stanowiska obserwatora, kpiarza i z pewnym może okruchem współczucia mówi o tym, jak to zamaszysty obywatel ziemski odsadził niedołężnego pedagoga od dorodnej dziewczyny wiejskiej i z kolei sam od niej został odsadzony przez parobka Michała. Rzecz to pełna werwy, świeżości i humoru. Kilka nowel (*Wyznanie, Wacek, Straszny dzień Janka*) poświęcił autor obserwowaniu światka dziecięcego.

„W Cukierni" opisuje takich samych szarych ludzi, jak w „Barowskiej", tylko że tu są to przeważnie kanalje bardziej zdecydowane i stanowisko autora wobec nich jest bardziej sarkastyczne. Dwa utwory (*O czarownym zielu i rycernym pasie* i *O smutnym rycerzu*) pomimo zalet literackich są mniej charakterystyczne.

Z nowel p. Choynowskiego widać, że ten autor, pełen werwy, sprężystości i spostrzegawczości, zajmuje wobec świata i życia stanowisko pewnej rezerwy, oczekiwania i baczności. Świat roi się od małych ludzi, dokuczliwych utrapień, śmiesznostek, podłostek, melodramatów, brzmi okrzykami, w których ból łączy się z pozą, z grymasem karykaturalnym. To widowisko daje powód tu parsknąć śmiechem, tam uczuć w sercu kroplę goryczy, jeszcze gdzieindziej doznać litości. Słowem jest to dobrze znana metoda literacka, polegająca na tym, że się życie podpatruje i opisuje, zachowując, o ile można, pewną niewzruszoność, niezamącone oko spostrzegawcze. Kiedy się wstępuje na tę drogę, zawsze grozi ta ewentualność, że drugi tom będzie już mniej świeży i tętniący zapałem, niż pierwszy, gdyż widowisko drobnych epizodów prędko się opatrzy.

Zresztą, przy wielkich zasobach spostrzegawczości i nietępiącej się wrażliwości i na tem polu można pracować długo i owocnie, lecz pomimo talentu rzeczy, płodzone w ten sposób, będą zawsze monotonne. Dowodem niech tu będzie wielki talent Czechowa, którego każda nowela wzięta oddzielnie może być piękną, lecz te nowele pochłaniane *en masse*, wywołują uczucie szarzyzny i duszności. Młody autor „Zdarzenia", wstępując na drogę skwapliwego obserwowania drobiazgów życiowych, czuje się na razie rześko i zdrowo. Lecz w nowelistyce zarówno polskiej, jak innych, czuć obecnie zniechęcenie do zajmowania wobec życia stanowisk wyczekujących tylko i obserwatorskich. Obserwowanie drobiazgu ludzkiego doprowadziło do przesytu i zawodu. Aby sztukę uczynić wspanialszą, trzeba zwrócić się raczej do obcowania z typami psychicznie najbogatszymi oraz badać siebie w chwilach, gdy nasze życie wewnętrzne płonie najmocniej.

Leon Choromański.

Z Zachęty.

(Salon 1911-1912).

1. I cóż?

2. A no!... Szaro... Wiele pracy, wiele serc, a tak mało zawodów.

1. Niezupełnie rozumiem.

2. Mało walki. Tu, widzi pan, niema nocy nieprzespanych, niema drżących nadziei, co się w końcu spełniły. Tym, co dużo mogą, gestu brak, a ci, co mało umieją, przetopili się w rzemieślników. Szaro.

1. Pod jakim kątem widzenia?

2. Serca, panie. Tu zimno. To nie „Woły" Wyczółkowskiego. Tam coś grzeje, tuli. A tu zimno.

---

trupa. Żałuję, że nie jestem zbrodniarzem, przez was właśnie piętnowanym, bo ta jedna, prywatna zbrodnia wydałaby mi się tak maluczką w ukrytym swym postępku, że zbladłaby w świetle waszego cynizmu. O, przypatrzcie się tym paniom z galeryi, tym małpom w strusich piórach, które przez lornetki szyldkretowe obserwują mnie w tej chwili. Z jakim zwierzęcym wyrazem zapudrowanych facjat cieszą się z cierpień człowieka, widowisko robiąc sobie ze mnie, któremu by się z nich każda rok temu za mniejszą lub większą ilość dollarów oddała. Niewinny jestem, ale pragnę być skazanym. Zamknijcie mnie w lochu, niech nie widzę więcej ani was, ani przyjaciół moich, ani bliźnich. Nie chcę żyć w kraju, gdzie za domniemanie kalują człowieka, nie chcę żyć w społeczeństwie, gdzie przyjaciele zdradzają, a czczą złotego fetysza. Skażcie mnie. Niech wam się zdaje, że spełniacie obowiązek, mordując człowieka. Prędzej zginiecie w zbrodni waszej. Chciałbym być winnym, bo wówczas uratowałbym godność Indzką i tych, którzy mnie odwiedzali w celi. Niech Bóg broni, żebyście mnie uwolnili. Jabym nie mógł przejść koło wszystkich tych ludzi, nie plując im w oczy. Wy wszak czynicie sprawiedliwość, siedząc tu, że się mścicie nad najnieszczęśliwszymi. Bo zbrodniarz jest przedewszystkiem nieszczęśliwy; ludzie szczęśliwi zbrodni nie czynią.

— Czym winien, czy nie winien, jestem już nieszczęśliwy. I za to mnie skażecie. Zemścijcie się nową torturą za już dokonaną na mnie torturę. I tak ciągle. Czy wam się zdaje, że wy z całym waszym aparatem karnym i kodeksem nie pracucie dla kontynuacji zbrodni? — Zbrodnia jest, ale mogłoby jej nie być, ale wy jej każecie być, boście ją skodyfikowali, bo ją otaczacie nimbem tradycji i męczeństwa, a wasza prasa ją popularyzuje, miast alfabetu i katechizmu.

— Nie spełniłem zbrodni, ale wy mnie wyręczycie, skazując mnie. Skażcie mnie, proszę.—

Skończył. Prezes sądu nie przerywał, bo według praw stanu New-yorskiego wolno podsądnemu bronić się jak chce.

D. N.

1. Pan nie tak patrzy.

2. Być może, być może. Ja waszego patrzenia nie lubię. Dla mnie sztuka to mowa serc. Z nas powstał w poezji romantyzm palący, krwawy. I w sztuce plastycznej musimy być romantykami. To konieczność naszej twórczości. Niech inni biją oskardem w skałę, my ponad nią ulatać chcemy. I wy daremnie narzucacie nam problemat malarski w sztuce. Jeżeli okiem Francuzów mierzyć będziecie wartość naszej sztuki, to wybaczy pan, ale upodobnicie się tym, co rozkosz pierwszej miłości mierzą wyrafinowaniem pieszczoty. Ja waszego patrzenia nie lubię. Ale proszę, ciekaw jestem.

2. Więc może spojrzymy pod kątem słońca, barwności kwiatów i pól.

1 Proszę.

2. Pan się kiedy w rzece kąpał, w słońcu, o południu?

1. W młodości.

2. Co pan czuł?

1. Siłę, młodość czułem.

2. A tu?

1. Szaro coś, czegoś brak

2 Brak tu radosnej energji, co tworzy ze szczerym uśmiechem. Brak tu słońca, nagich ciał, brak tych istotnych pierwiastków życia i twórczości plastycznej Żadna inna gałąź sztuki nie posiada mocy narzucania nam tak bezpośrednio odradzającej radości słońca, czy iście helleńskiego zachwytu ciał, jak malarstwo. Niestety, dzisiejsi malarze tego nie pojmują. Hans von Marées i Gauguin, to dwaj ostatni z generacji dumnych czcicieli cielesnego piękna. Obydwaj zmarli bezpotomnie, pozostawiając kilku ogłupiałych epigonów, widzących w sztuce mistrza nie umiłowanie ciała, lecz „oryginalność typu".

1. Pan coś gorzki.

2. Bo ta wystawa zda mi się czymś więcej, niż sumą wysiłków dzisiejszych malarzy To nasze współczesne duchowe istnienie — szarzyzna beznadziejna.

1. A barwy, a kąt słońca?

2. Któż je tu zrozumiał. Proszę spojrzeć, ile tu wysiłków, a jak mało celów, jak mało zadokumentowanych pragnień. Zapomnieli nasi malarze, iż słońce było dla Rembrandt'a nietylko jasną plamą, lecz światopoglądem artysty, jego treścią duchową i walką, którą przez tę plamę wypowiadał Tu zaledwie kilku młodych malarzy pojęło swoją sztukę, jako wypowiedzenie się człowieka przez barwę i linję. Z pośród tych nielicznych jedyny Weiss wykazuje świadomy celów rozwój po jednej linji. Ta naga kobieta — to nie arcydzieło, lecz arcystudjum. Jako bogata kompozycja malarska, kompozycja z kolorów, stoi ono u progu dzieła.

2. Dla mnie to utwór brutalny w treści i formie. Bez stylu. Proszę porównać z „Venus" Giorgione czy choćby „Olympją" Manet'a. Gdzież miękkość kobiecego ciała, gdzie ów jedwabisty połysk skóry?

1. Dziś jest to jeszcze studjum refleksów barwnych, chwilami nawet brutalne w harmonjach. Lecz w bezwzględnej odwadze narzucania naszym oczom nowych wrażeń barwnych tkwi zarodek nowej idei, możliwość nowego arcydzieła. Z takich jeno studjów bije duch odrodzeniowy, w takich żyje radosna energja twórcza. Podobną linję rozwoju obok Weissa widzę u Pieńkowskiego.

2. Przy Lencu jego figurki? Jakieś nikłe, rozpływają się.

1. Istotnie. Lenc jest jędrny, mocny, ale jakiś galeryjny. Mistrzowska brawura rzutu bez brawury koloru. Gdy Pieńkowski, jako jeden z tych, co czując cudze piętno na swoich rękach, wyzbyć się go pragną, by na sobie samym się oprzeć, jest jeszcze chwiejny i daleki od szukania jędrnej doniosłości. Pewna surowość żyje jeszcze w jego postaciach. Lecz po przez ową surowość i chwiejność — dokumenty dążeń nieustających, trudności przełamywanych z wiarą — przebija poezja, poezje wnętrz mieszkalnych, ta, jaką pierwszy u nas wydobywał swoimi kwiatami Ślewiński.

2. Nie lubię tego zimnego majstra. To dłubacz z zamiłowania.

1. Raczej cyzeler, lubujący się kształtem kwiatów—bukietów, owianych cichą szarością naszych pokojów. Człowiek, szukający ducha morza, którego my niestety, zbyt mało znamy, by ocenić piękno tej spienionej fali, — przeto innych malarzy mórz nie umiemy ocenić. Choćby Cylkow. Coś w nim jest, coś żyje, a co? trudno określić.

2. Być może, mógłbym się zgodzić. A jednak — nie sprawiają ci młodzi wrażenia ludzi zbłąkanych o nocy wśród cudzych dróg. Cóż znaczą te jabłka?

1. Nieporozumienie. Dla Cézanne'a piękne w kolorze i kształcie były one objektem studjów. Na nich uczył się światła, powietrza i słońca, przez nie życie zdobywał. Epigoni środek za cel przyjęli. Ich oka nie pociągał ani kolor ani kształt owoców. Momentem twórczym był tu, często nieuświadomiony, nakaz naśladownictwa. Stąd tyle jabłek.

2 I tylko jedne z nich ciekawe — Maciejowskiej. Jasność i pogoda harmonji każe przeczuwać psychikę, wychodzącą poza kanon przeciętny.

1. A ta dramatyczna koncepcja malarska Rembowskiego „Portret koleżanki" nie zaciekawia? Całą żywotność spojrzenia wydobył Rembowski, zda się, tylko przez coraz to wzrastające napięcie barw (stąd dramatyczność), idące od tła, po przez fiolet sukni, białe ręce i ciemne włosy.

2. Obcość wieje z tej sali, przejdźmy.

1. Spójrzmy po drodze. Jak wiele smaku i kultury w tej główce Huzarskiego.

2. Wolę tę główkę — niż tamte rzeczy.

1. Tu Uziębło, i on odważył się na słońce, a jakaś dziwna rozkosz samego „malowania", radość rzucania wielkich plam wyróżnia go z pośród innych młodych. Tylko to dekoracyjne rozwiązanie dolnych gałęzi psuje dobry obraz.

2. A Mehoffer? Czyż też poza linją rozumowań?

1. O, nie! Wyrasta on tu ponad wszystkich. Nie przez odrębność indywidualności, lecz przez głębokie zrozumienie dzieła sztuki. Ta altana — cudowny fragment życia. Jej piękno leży nie w realizmie, nie w fakcie — zbyt nikły na to — lecz w ujęciu. Przedziwne bogactwo słońca i powietrza bije z niej i ogarnia widza i wchłania w siebie. Każdy kto przechodzi obok tego obrazu przeżywa radosną, letnią chwilę życia.

1. Po raz pierwszy się zgadzamy. Kto raz głęboko odczuł Mehoffera ten powinien umieć przeżyć i tę rzekę Chełmońskiego. Pan ją ominął. Ominął pan z pośród młodych Kowalewskiego, choć jego wioski są istotnie piękne. Zapomniał pan o Skotnickim, artyście w którym leżą bujne zarodki talentu potężniejącego z roku na rok. I ten szkic nagiej kobiety Axentowicza, postokroć bardziej kobiecy od brutalności Weissa i stylowa główka Blarksteinówny, i zaciszne dworki Wywiórskiego—

te wszstkie obrazy odpadły, bo nie leżą na linji pańskich rozumowań. Zbyt dziwnie, zbyt zimno pan chce sądzić.

2. Przed Chełmońskim, Malczewskim czy Wyczółkowskim stawałem wielekroć z tchem zapartym od zachwytu. — Ja z panem razem ukochałem „Wety" Wyczółkowskiego i „Róg litewski" Chełmońskiego. — Przeto te dzieła nowych wzruszeń dać mi nie mogą. — A innych przemilczałem gdyż szukam nie tych, którzy gładzikiem talentu polerują zgrzyty genjuszów, ale tych, co własnych dróg w twórczości szukają.

Mieczysław Sterling.

NA DOBIE.

Polemika bez maski.

Żarliwość, z jaką świat dzisiejszy ukochał słowo „dlaczego", ma coś sprośnego. Nie można ust otworzyć, aby nie spadły na ciebie ostre żwiry niewczesnej ciekawości. Widać oczy pytających otwarte jak samotrzaski. Jakże chętnie widzianoby cię zaplątanego, rozbijającego sobie głowę o kant problematu!

Ciekawość, skierowana ku sobie, prowadzi do wniosków najczęściej fałszywych. Poeci, naprzykład, jako istoty nieraz pozbawione rozumu, lecz mające bez wątpienia zawsze dużo wrażliwości, podlegają nieustannemu falowaniu, wznoszeniu się i opadaniu swych stanów uczuciowych. Tę, często przykrą, niestałość tłumaczą sobie oni naogół jednostronnie, nalepiają zbyt pośpiesznie etykietę z napisem: „miłość nieszczęśliwa" lub coś podobnego tam, gdzie surowa odpowiedź brzmiećby musiała zupełnie inaczej. Tworzą oni fikcję. Gdy ktoś tworzy fikcję, zawsze jest miejsce dla kogoś jeszcze, aby przyszedł i wszczął polemikę.

* * *

Lecz polemika może być wszczęta i wówczas, gdy jednostka przekracza tę miarę szczerości, jaką wyznacza jej ta lub inna grupa społeczna. Oto przykład: Człowiek w łonie matki, jako embrjon przeżywa różne okresy ewolucji gatunkowej, po wyjściu z łona matki — duchowej. Z początku nie ma on wcale przekonania, czego mu nawet najżarliwszy społecznik nie bierze za złe. Później przychodzą przekonania, zmieniają się, kształtują. Wreszcie niby na mieliźnie osiada człowiek na pojęciach pewnej grupy społecznej. To skrzepnięcie uważa się za pożądane i normalne. Grupa konfiskuje jednostkę na swój osobisty użytek. Po pewnym czasie zmianę przekonań poczytuje się za zdradę. Lecz, niewątpliwie, skrzepnięcie przekonań, ich niezmienność jest tylko oznaką zbliżającej się śmierci, cechą zmniejszonej energji żywotnej. Tu ideałem raczej być winien człowiek, który razem z truciznami, jakie zatruwają nasz organizm, z potem i rozłożonymi tkankami, wydziela swe przekonania, który radośnie zmienia swe stanowiska, swe punkty widzenia, który dziś mówi na coś, że jest czarne, a jutro na to samo — białe i parska śmiechem w twarz zdumionym interpelantom.

* * *

Niedorzeczność dyskusji polemicznej. Zatrzymuje cię za poły człowiek, który ma dużo czasu i chęć do gadania, i zaczyna dyskusję. Lecz naprzód, chcąc mnie przekonać, że jestem w błędzie, *on* przypuszcza widocznie, że jestem głupszy od niego—co nigdy nie jest rzeczą przyjemną. Powtóre — moje sądy płyną z moich przeżyć, jego — z jego przeżyć. Słowem, on swoje przeżycia uważa za cenniejsze od moich. Ja żyć nie umiem, on — umie. Odpowiadam: mój drogi, choćbyś gębę rozdziawiał przez ruski miesiąc od ucha do ucha — ja inaczej nie będę opanowywał życia, tylko na sposób mi właściwy. A może przypuszczasz, że jestem obłudnym łotrem, który ukrywa swe właściwe przekonania? A więc: lotrostwo, nieudolność i głupota — czyż to nie dosyć, aby panowie rozeszli się, gdyż, jak się zdaje, nie mają już sobie nic więcej do powiedzenia.

A zresztą - słówko jeszcze: Świat pełen jest uroczystych idjotów, którzy nie mają nic więcej do zademonstrowania jak niezmienność swych kiepskich przekonań. Nie należę do tej grupy ludzi poważnych. Moje przekonania trzymam zdala od siebie — w szarym kącie. Wypowiadam je w zdaniach krótkich, aby czasem przekonanie nie uległo modyfikacji wcześniej, niż skończy się zdanie. Zazwyczaj przeżywam na dobę siedem okresów, a każdy w innym garniturze przekonaniowym. Adieu!

* * *

Inne przeszkody. Prócz niestałości przekonań na drodze do dyskusji i polemiki piętrzą się inne przeszkody. Oto niektóre z nich:

Matka do trzechletniego synka:

— Karolku, pocałuj braciszka (sześciotygodniowego Edzia).

Karolek całuje braciszka, potym krzywi się z obrzydzenia, idzie w kącik, spluwa.

Matka: — A pfe! nieładnie! Braciszka trzeba kochać, pieścić, całować...

Długo przekonywa Karolka, ale ten na wszystko odpowiada uparcie:

— Ja nie mogę go kochać, bo on jest *za czerwony.*

* * *

Inna scena:

Sędziwy pasterz narodu z pastorałem. Chrystus nachyla się do niego i mówi:

— Mój chłopcze, uczyłem ludzi miłości: kochaj socjalistę

Pasterz z pastorałem drepcze w swój kącik, spluwa i mówi:

— Nie mogę, on jest za czerwony...

Ogółem — to, że ktoś jest „za czerwony" przecina jak brzytwą możliwość rzetelnej dyskusji i polemiki.

*

Kiedy człowiek rzetelny przerywa dyskusję. Jeżeli, naprzykład, stawia się pomnik człowiekowi znakomitemu — to zbiera się komisja. W komisji jest prezes, wiceprezes, sekretarz, skarbnik, i t. d. Wybierają na prezesa zwykle kogoś „zasłużonego" np. d-ra Bebego. Słychać co chwila: D-r Bebe... Zasługi d-ra Bebego... nieustanna gorliwość... przenikliwość... talenty... obywatelskość d-ra Bebego... W końcu nabiera się przekonania, że cała sprawa jest pomyłką. Właściwie pomnik należy się nie znakomitemu nieboszczykowi, lecz prezesowi komisji — d-rowi Bebemu. A sam „Słowacki" jest zaledwie tolerowany: stawia mu się pomnik, aby raz nareszcie dał d-rowi Bebemu i innym ludziom znakomitym—spokój. Człowiekowi rzetelnemu nie pozostaje wtedy nic innego, jak wstać i rzec:—Pano-

wie! Pocóż ta niesprawiedliwość? Uchwalmy pomnik d-rowi Bebemu i rozejdźmy się do domów...

* * *

Polemika a krew gorąca. Rozmawiając z ludźmi, dochodzi się do przekonania, że zbyt często jasna logiczność jest dla nich niedostępna, a idea surowej sprawiedliwości — nieskończenie obojętna.

Lecz oto nareszcie stają naprzeciw siebie dwaj godni polemizanci. Ukłony. Kilka komplementów pod wzajemnym adresem. Jedna ręka na sercu, drugą podnoszą w górę, wzywając nieba na świadki, że chodzi im tylko o prawdę. Zaczyna się polemika. Nagle jeden z nich nieostrożnie zadrasnął drugiego w czułe miejsce.

Następuje straszliwy wybuch polemiczny. Sięga się do wszelkich źródeł. Korzysta z byle źdźbła, by z niego zrobić belkę. Tworzy się wieżę Babel: przemawia wszystkimi językami. Niema słów dość zjełczałych, by ich w zapale nie użyć. Zachodzi się z tyłu, kąsa w piętę. Polemizanci usiłują przedstawić siebie jako typy bardzo odległe: jako alfa i omega, czarne i białe, gorące i zimne, genjalne i idjotyczne, wysoka cnota i niski występek, wzniosłość i nikczemność. Inaczej mówiąc — z obu stron wytwarza się fikcja, dążenie, w regjony urojone, parcie w strony przeciwne, formowanie przepaści między tym, co jest naprawdę bliskie.

Znika ostatni cień ułudy, że w polemice chodzi o słuszność — prawdę. Ukazuje się jej właściwy charakter. Polemika jest sportem. Dążą do polemiki ci przedewszystkim, którzy potrzebują jej dla siebie, kto chce sam sobie własne kwestje wyjaśnić, kto lubi potyczki, kto nie może pomóc sam sobie i, aby czemuś uradzić, potrzebuje pomocy „wroga". Obaj polemizanci w zapale walki czują wzmożony napływ sił, obfitość świeżego powietrza w płucach. Obaj wracają do domu z dumnym przeświadczeniem, że starli wroga na miazgę. Powolnemu opadaniu podniecenia towarzyszy wzrok nadmiernie zaostrzony, którym każdy z nich ogląda swe miejsca spotwarzone przez przeciwnika. Temu to podnieceniu i zaostrzeniu wzroku, którym jednostka po walce sprawdza swą wartość, zawdzięcza polemika całą swą możliwą dobroczynność.

L. C.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

⁂ *O nacjonalizmie integralnym.* Stronn-dem.-narodowe znalazło koligacji rodzinne nad Sekwaną w osobie francuskiej reakcji monarchiczne, o czym wspomnieliśmy w N-rze poprzednim. P. W. Gostomski w art. ***Reakcja rewolucyjno-monarchiczna*** (ost. ***Przegląd Narodowy***) rozprawia się z republiką francuską bez pobłażania, pełen pogardy dla t. zw. „les grands principes de 89". Zwłaszcza razi go formuła: „wolność—równość—braterstwo":

> A braterstwo ludów? Czyż warto wspominać o nim w epoce takiego wyuzdania wstrętów i nienawiści międzynarodowych, w epoce bukatyzmu, sjonizmu, siczowego hajdamactwa i „istne rosyjskiego" czarnosecińswa?

W tej litanji „wyuzdania wstrętów i nienawiści" zapomniał autor na chwilę o własnym stronnictwie, by go niebawem przypomnieć w odsyłaczu:

> Nasza Demokracja Narodowa, jako jedna z odnóg wszecheuropejskiego prądu nacjonalistycznego, liczne i uderzające w swych zasadach i doktrynach przedstawia analogje z „integralnym nacjo-[illegible]

Ów „integralny nacjonalizm" we Francji odznaczył się niedawno, jak wiemy, brutalną napaścią na kobietę tak niezmiernie nauce francuskiej zasłużoną, jak nasza rodaczka pani Curie-Skłodowska. P. Gostomski pełen sympatji dla tego rodzaju metod powiada

> Tę bezwzględność Akcja francuska stale i konsekwentnie stosuje we wszystkich swych polemikach ideowych i walkach politycznych. Ostrość tonu, gwałtowność, niekiedy brutalność języka jej odezw, broszur, dzienników — bezprzykładne są prawie nawet w obecnej Francji, wrzącej takim namiętnym rozgwarem walk stronniczych. Szczególnie wychodzący od roku 1908 główny codzienny jej organ p. t. *L'Action française*, przechodzi chyba wszystko, cokolwiek najbardziej wybujałego można [illegible] nikarskiej. Najgrubsze połajanki, najobraźliwsze epitety, stosowane do przedstawicieli rządu i parlamentu, dygnitarzy Republiki i różnych jej instytucji, są tam niemal chlebem powszednim. Podobny ton odzywa się też nieraz w komunikatach redakcyjnych głównego organu Akcji, w urzędowych odezwach naczelnych jej przedstawicieli, w przemówieniach na zebraniach, ucztach i obchodach pamiątkowych, często i gęsto z wielkim hałasem przez nią urządzanych.
>
> Wreszcie Akcja posiada swą urzędową „bojówkę", która jej metodę gwałtownie brutalną stosuje nieraz w czynie.

Jeżeli zważymy, że ta „bojówka" złożona z „kamlotów Króla Jegomości" (*les camelots du Roy*) celuje w napaściach ulicznych, w pięściowych rozprawach, bijatykach i wybrykach barbarzyńskich, że czując się na siłach urządziłaby niechybnie krwawy pogrom nietylko żydów, meteków w rodzaju pani Curie, inteligentów postępowych, ale i wszystkich wogóle ideowych przeciwników, w myśl doktryny siły (*le coup de violence*) — wówczas rodzi się pytanie: czemu to pan Gostomski zapędził się aż nad Sekwanę w poszukiwaniu „licznych i uderzających analogji" ze swoim stronnictwem, gdy ma je tu pod bokiem w osobach pp. czarnosecińców, których „integralny nacjonalizm" poszczycić się już może licznymi trofeami zwycięstw w Odesie, Kiszyniowie, Homlu, Kijowie, Chełmie, w Finlandji — wreszcie na całej przestrzeni państwa? Dziwną zdradza p. Gostomski jednostronność przekładając ***Action Française*** w zakresie polemiki nad ***Russkoje Znamia***; dziwnym też wydać się może, że bada „nacjonalizm integralny" w kraju, gdzie on gra rolę dość jałowej opozycji, zamiast kierować oczy przyjazne na Wschód, gdzie szerokim płynie korytem.

⁂ *Czerwone Niemcy.* Wynik wyborów żywo jest w prasie naszej komentowany. ***Kurjer Poranny*** widzi w nim zdarzenie niezmiernej, epokowej wagi:

> Wynik wyborów niemieckich jest pierwszorzędną historyczną sensacją i rzuca na przyszłość Niemiec światło niezmiernie interesujące: odnosi się wrażenie, że na zegarze Europy przesunęła się wskazówka i bije nowa godzina rozwoju, dźwiękiem donośnym, dosłyszalnym dla każdych uszu-

Socjalna demokracja staje się najliczniejszym, najpotężniejszym stronnictwem w życiu państwowym, a pomiędzy rządem i ludem Niemiec pogłębia się tym samym przepaść

Wobec tego przewiduje *Kurjer poranny* stosowanie ze strony rządu „środków heroicznych" w rodzaju dywersji wojennej.

Nie dla biegu polityki wewnętrznej zatym, ale dla przyszłości i istnienia państwa niemieckiego „styczeń dwunastego roku", ma znaczenie pierwszorzędne Angielskie dzienniki trafnie oceniają położenie, sądząc, że wzrost „śmiertelnej choroby" socjalizmu wśród ludności państwa Wilhelma Drugiego utwierdzić go może tylko w mniemaniu, że na wyleczenie państwa z tej choroby potrzeba heroicznych lekarstw. „Historja zna analogiczne położenia w przeszłości—pisze *The Times*—a pokusa musi być szczególniej wielka dla rządu państwa, które rozporządza tak niezmiernie wielką armją i flotą i bez przerwy poświęca się ich rozwojowi". Z tego punktu widzenia zczerwienienie się polityczne Niemiec może być równoznaczne ze zczerwienieniem się ich wśród rzezi wojennych czasów bliskich.

Wypada tu zauważyć, że „analogiczne położenia w przeszłości", o których wspomina wielki organ *City*, kończyły się zazwyczaj grzmiącym upadkiem systemu, co ulegając pokusie, imał się tak niebezpiecznych i zbrodniczych środków zachowawczych.

*** *Duch tchnie kędy chce.* Wiadomo że *Kurjer Warszawski* nie żywi przyjaznych dla postępu uczuć, służąc wiernie lat dziesiątki w arjergardzie myśli narodowej. Ale duch tchnie kędy chce. Natchnął więc p. Czesława Jankowskiego gorącym kultem postępu na skutek lektury zajmującego dzieła p. t. *Das Galante Europa*, gdzie na 500 stronicach rozstrząsa się szczegółowo zwyczaje i obyczaje towarzyskie wielkego świata Europy w trakcie XVII i XVIII wieku. Teraz dopiero spadła p. Jankowskiemu łuska z oczu; teraz dopiero zdolen był odczuć, jak powoli podążaliśmy za zachodnio-europelską cywilizacją i kulturą:

Ten ruch, to życie, ta barwność, ta zamożność, ta szybkość wszelkiej ewolucji — na Zacho-[illegible]

Wobec tej Europy pełnej wiru, gwaru, energji, bujnego życia, wydaje się Polska nasza jakby gdzieś., na wsi głęboko zagrzebana i zadomowiona tam i deskami zabita od świata. I — nie pragnąc nawet zmienienia form swego bytowania tradycyjnego. Zda się słychać jeszcze jak pieje nasz Gawiński w „Sielance dworu wiejskiego":

„We wsi domek poziomy, z niewyniosłym szczytem
I mieszkaniem wesołym i szczęśliwym bytem".

Ach, niestety! Za długo, za długo zażywaliśmy tego „szczęśliwego bytu" pod „słomianą strzechą" — na partykularzu Europy. Nie wiedząc nawet o tym, co się dzieje w innych krajach.

— Jak żółw posuwano się naprzód — dodaje niepocieszony p. Jankowski — gdy świat cały pędził galopem. Gdy zaś zdecydowano się i rzucono... doganiać Europę, było już — zapóźno!

Cóż, u licha, mogło tak zaimponować w Europie publicyście *Kurjerka*? A oto: „Zbytek w cieniutkiej białej bieliźnie, rozmiłowanie się w koronkach... rauty i teatry amatorskie po zamkach angielskich, salony, prowadzone w klasztorach przez wyranżerowane kokoty włoskie, przechadzki w Prado madryckim, polowania, *los grandes monterias*, z udziałem dam..." Musimy utulić żal p. Jankowskiego uwagą, że i u nas kwitnął „postęp" — za króla Stasia.

KRONIKA.

KAPITAŁ POLSKI W ZABORZE PRUSKIM W ROKU UBIEGŁYM W dziedzinie gospodarczej postęp i rozwój społeczeństwa polskiego był w roku ubiegłym tak samo intensywnym, jak w latach poprzednich. Polskie zasoby finansowe w spółkach zarobkowych i gospodarczych, które są zarazem polskimi kasami oszczędności, wzrosły prawie o 30 milj. marek i przekroczyły ogółem w W. Ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich kwotę 330 mil. marek Podobnie znaczny był wzrost wkładek w polskich spółkach na Górnym Śląsku. Jeżeli dodamy do tego polskie kapitały, złożone w bankach, a po części zawsze jeszcze w powiatowych „kasach oszczędności", śmiało powiedzieć możemy, iż gotówka ruchoma, jaką społeczeństwo polskie pod berłem pruskim rozporządza, wynosi 450 do 500 miljonów marek

OFIARY.

Na wyższe Kursy handlowe w Warszawie od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, F. Kobyliński rb 3, S. Prauss rb 3, B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Hegner rb 2, H. Cywiński rb. 2, J. Tomaszewski rb. 1, S. Pilarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop 50, P. Mitrocki kop. 50, R. Swietliński kop. 75, W. Popiel kop. 50, A. Czajkowski rb. 1, S. Krotkiewski kop. 21, Ogółem rb. 52 kop. 46.

Na pomnik Chopina nadesłane z Ekaterynodaru: Monowid rb. 1, Urban rb. 1, Chądzyński rb. 3, Majewski kop. 50, Ogółem rb. 5 kop. 50.

Na wpisy dla biednych uczni szkół prywatnych polskich nadesłane z Ekaterynodaru: Vacpueret rb. 3, St. Mol. 1, Ogółem rb. 4.

Książki nadesłane do Redakcji:

Aleksandra Szczyńska: „Wrogowie". Powieść Warszawa. Gebethner i Wolff. 1912. Str. 320, Cena rb. 1 kop. 50.

Kazimierz Zdziechowski: „Opoka". Powieść. 1912. S. A. Krzyżanowski w Krakowie. E. Wende i S-ka w Warszawie. Str. 370.

Zbigniew Brodzki. „Oni". Powieść z niedalekiej przeszłości. Wydanie pośmiertne. 1913. Warszawa. Str. 350

William Shakespeare: „Dzieła dramatyczne". w dwunastu tomach, z portretem autora. Przekłady: J. Kasprowicza, J Korzeniowskiego, St. Koźmiana, K. Ostrowskiego, A. Pajgerta. J. Paszkowskiego, E. Porębowicza i L. Ulricha.

Tom I: życie, twórczość i sława Shakespeara, przez R Dyboskiego. „Burza". „Dwaj panowie z Werony" „Figle kobiet". Warszawa, 1912. Nakładem Gebethnera i Wolffa Str. 320.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA **k. 75**

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia **rb. 2**

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

Z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: [illegible]

Za zmianę adresu dopłaca [illegible]

[illegible] i przyjmu- [illegible] w codzien- [illegible]

Rękopisów [illegible] **sie.** [illegible] przyjętych mogą [illegible] w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaco- [illegible] niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści [illegible] garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

[illegible]dpłatę przyjmuje administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych [illegible]row po kop **20** w [illegible]

[illegible]**tacja otwarta codzien**[illegible], z wyjątkiem nie[illegible]el i świąt, od godz. [illegible] do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Czerwo[illegible] — ECHA PRAWDY: [illegible] 456 konfiskat w dziejach jednego pisma. - Biskupowi Kowalskiemu. - [illegible] Fetysz, przez Gustawa O[illegible] (ciąg dalszy) – Przegląd Polityczny.—Leopold Meyet.—Reformacja i [illegible]eformacja wobec [illegible], I. Moszczeńska.– POEZJA: Wiersze wachlarzowe, przez Remigjusza Kwiatkowskiego.—KRYTYKA: Zza [illegible] krytyki literackiej, przez Karola Irzykowskiego —Z Teatrów: przez Leona Choromańskiego.—Podpatry[illegible] życia, przez Leona Choromańskiego.—Z Zachęty, [illegible] Mieczysława Sterlinga —NA DOBIE: Polemika bez [illegible]ki, przez L. C.– Z PRASY: Z pr[illegible] polskiej — KRONIKA. — Ofiary.—Książki nadesłane do redakcji.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warsza[illegible]